DWA POŻEGNANIA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

napisał

Henryk Nowakowski.

LWÓW.

NAKŁADEM AUTORA — CZCIONKAMI E. WINIARZA.

1860.

OSOBY:

MACIEJ PRÓŻNICKI, były właściciel dóbr.
SZAMBELANOWA, 65letnia wdowa, jego siostra.
ANIELA, jego córka.
JAN ŻYTOMSKI, adwokat krajowy, chrzestny ojciec Anieli.
HRABIA ARTUR PRÓCHNICKI.
MICHAŁ SULIMOWSKI.
KAZIA, uczennica Anieli.
GERWAZY PLEWKIEWICZ, pisarz pokątny.
KAROLINA, pokojówka Anieli i Szambelanowej.
JAQUES, kamerdyner Artura.
WOJCIECH, lokaj Próżnickiego.
GARSON hotelu.

Rzecz dzieje się we Lwowie w roku 1853 i 1854.
Między III. i IV. aktem upływa sześć tygodni, między IV. i V. półtora roku.

AKT PIÉRWSZY.

Pokój Michała w hotelu — po prawej stół, na nim dzwonek, przed nim dwa krzesła, po lewej sofa, przed nią stolik, na którym leżą cygara i zapałki — przy drzwiach w głębi stołek drewniany, na nim waliza, płaszcz, pudełko.

SCENA I.

MICHAŁ sam w ubiorze podróżnym — chodzi zadumany po pokoju.

Rzecz dziwna — poczciwy pan Jan napisał do mnie przed kilką dniami krótko i zagadkowo, ażebym jak najspieszniej przybył do Lwowa. Pospieszyłem więc i wyglądam z ciekawością wyjaśnienia powodów tego wezwania . . . . . (Zamyśla się) Musi to być jednak rzecz nie małej wagi, dla której pan Jan nie wahał się oderwać mię od zajęcia mego i ściągnąć do stolicy . . . . Bądź co bądź muszę się przebrać i pójść do niego. (Dzwoni — garson wchodzi.)

SCENA II.

MICHAŁ, GARSON.

MICHAŁ (podając mu klucz od walizy).

Proszę cię — rozpakuj moją walizę — chcę się przebrać.

GARSON.

Natychmiast.

(Bierze klucz, stawia walizę na podłodze i otwiera).

MICHAŁ.

Czy nie znasz przypadkiem pana kómornika Jana Żytomskiego?

GARSON (otwierając).

O! bardzo dobrze!

MICHAŁ.

A czy on zawsze mieszka przy ulicy jezuickiej?

GARSON.

Tak jest panie! (rozpakowując) A czy to może wielmożny pan nazywa się pan Sulimowski?

MICHAŁ.

Tak jest!

GARSON.

Z Żółkiewskiego?

MICHAŁ.

Tak, tak. Alboż co?

GARSON (rozkładając suknie).

Bo pan komornik przychodził tu wczoraj dwa razy pytać się, czy wielmożny pan nie przyjechał i prosił, żeby mu dać znać, jak pan przyjedzie. O! mój pan musiał mu już donieść. Był tu także kamerdyner pana hrabiego Pruchnickiego i pytał się, czy to pan Sulimowski przyjechał.

MICHAŁ.

I cóż mu powiedziałeś?

GARSON.

Że nie wiem jak się wielmożny pan nazywa — a on poszedł zapytać mego pana. Ten hrabia stoi tu u nas na 1. piętrze. Jakiś wielki pan!...

MICHAŁ (do siebie).

Pan Artur mię szuka! Cóż to znaczy?

W tem ktoś puka — wchodzi Jan z powagą, z uśmiechem dobroci na twarzy. Garson kłania się nisko.

SCENA III.

Ci sami. JAN.

MICHAŁ (całując Jana serdecznie w twarz i ramię).

Ach witam cię, witam, zacny przyjacielu! Ale czyliż godzi się uprzedzać mię? Wszakże to moim obowiązkiem złożyć ci u ciebie moje uszanowanie.

Przed chwilą przyjechałem, miałem się właśnie przebrać i pójść do ciebie.

GARSON.

Czy wielmożny pan będzie się przebierał?

MICHAŁ.

Nie — teraz nie — później! (Garson odchodzi) (Do Jana) Chciejże usiąść (wskazując na sofę) tu — na sofie!

JAN (siada).

Chodźże, niech cię jeszcze raz uściskam (całuje go w czoło i w twarz) Jakże się miewasz?

MICHAŁ.

Ot jak to my na wsi — w dzisiejszych ciężkich czasach!...

(siada obok niego na krześle).

JAN.

Tak się tam zakopałeś, że się ani pokażesz we Lwowie? Ale twoi sąsiedzi, co to najlepiej wiedzą, jak kto siedzi, mówili mi, że wzorowy z ciebie gospodarz — a co więcej: uczynny, przyjacielski, wyrozumiały, gościnny, — szanowany w całej okolicy...

MICHAŁ (skromnie).

Za nadto łaskawi na mnie moi szanowni sąsiedzi.

JAN (przerywa mu).

Mój Boże! Gdyby to twój poczciwy ś. p. ojciec był się doczekał takiej pociechy z ciebie! (westchnął)... Pamiętam jak bywało posyła cię do szkół do Lwowa, pisze do mnie: „Panie Janie! oddaję ci chłopca mego pod opiekę; czuwaj nad nim — chroń od złego, a Bóg ci wynagrodzi!“ (ociera łzę z oka) To też Bóg mi wynagrodził!... (całuje Michała i ściska serdecznie) . . . . (żartobliwie) Tylko kobiety, słyszę coś się żalą na ciebie, mówią żeś zawsze smutny, zamyślony...

MICHAŁ.

Przyczyna mego smutku, tobie zacny przyjacielu, najlepiej wiadoma. Zakopałem się z nim na wsi — oddałem się całkiem gospodarstwu i naukom w nadziei, że w ten sposób ukoję powoli dręczącą boleść serca... Znasz mnie, szanowny kómorniku — wiadomo ci jak mężnie walczyłem z przeciwnościami losu — ilu burzom stawiłem odważne czoło. Lecz do tej walki nie czuję się być dość silnym. Obraz tej, którą ukochałam całą potęgą duszy...

JAN (przerywa mu).

Uspokój się Michasiu — miej nadzieję!

MICHAŁ.

O! ja się nie łudzę! Dawniej miałem nadzieję, i w tej słodkiej nadziei pracowałem nad przysporzeniem mienia mego. Ty wiesz najlepiej, w jakim stanie odebrałem majątek po ś. p. ojcu moim. Wiesz....

JAN.

O tak, tak. Możesz się tem chlubić, że pracą i oszczędnością, wydarłeś z rąk wierzycieli — ocaliłeś tę ziemię, w której spoczywają kości rodziców twoich, na której z piersi najgodniejszej matki wyssałeś miłość Boga, bliźniego i kraju. Alboż to nie jest szczęście, jeżeli sobie możesz powiedzieć: Oto sobie samemu zawdzięczam mienie moje — oto stałem się pożytecznym członkiem społeczeństwa i kraju!

MICHAŁ (z uczuciem).

Nie przeczę, że to przeświadczenie jest błogie i miłe. Ale ja radbym dzielić się tem szczęściem, radbym mieć towarzyszkę życia, którąbym kochał i szanował — któraby mię zrozumiała, któraby pojęła cel i pragnienie mego życia.... Mnie potrzeba takiego serca — jak serce....

JAN (przerywa).

Miejmy nadzieję!

MICHAŁ.

Ale raczże mi wyjaśnić szanowny komorniku, po co mię wezwałeś do Lwowa?

JAN (po chwili namysłu).

Oto rzecz taka: Pan Próżnicki od kilku tygodni bardzo jakoś posmutniał, niecierpliwi się —

MICHAŁ.

Może dla tego, że papiery spadają —

JAN.

Zdaje się, że to go niepokoi — bo, jak może słyszałeś, sprzedał wszystkie dobra i cały majątek ulokował u bankiera w Wiedniu. Podobno nawet grywa na giełdzie za jego pośrednictwem.

MICHAŁ.

Co za nieroztropność! Jaki grzech!

JAN.

O! tak! Grzech przeciw sobie samemu, przeciw córce i krajowi. Najpiękniejsze dobra przeszły w ręce cudzoziemców i żydów! To też kiedyś ciężko za to odpokutuje

MICHAŁ.

Jaka lekkomyślność!

JAN.

Próżność, brak wytrwałości!

MICHAŁ.

Może poznaje że zbłądził — i dla tego się tak niecierpliwi.

JAN.

Zdaje się, że sumienie go dręczy, że coś złego przeczuwa — czasy niepewne — słychać o bankructwach na wielkie rozmiary!....

MICHAŁ.

Żal mi Anieli, która musi znosić jego zły humor!

JAN.

Radby ją jak najprędzej wydać....

MICHAŁ.

Zdaje się, że i w tym względzie puści się na spekulacyję giełdową. Będzie grać *à la hausse* i *à la baisse!*

JAN.

Otóż widzisz, temu radbym zapobiedz i dla tego wezwałem cię do Lwowa....

MICHAŁ (skwapliwie).

Nie rozumiem....

JAN.

Zaraz zrozumiesz, tylko chciej posłuchać. (Michał przysuwa się bliżej i z natężoną słucha ciekawością). Wiadomo ci, jak ścisłe stosunki łączą mię z domem Próżnickiego, że jestem jego kolegą szkolnym, że byłem przyjacielem i dalekim krewnym jego nieboszczki żony, że jestem chrzestnym ojcem Anieli.

MICHAŁ.

Wiem.

JAN.

Ale tego może nie wiesz, że jestem także jej spółopiekunem.

MICHAŁ.

Tego nie wiedziałem.

JAN.

Nieboszczka jej matka, kobieta rzadkich cnót, światła i godna czci największej, prawdziwa niewiasta polska, która zgasła zawcześnie dla szczęścia swej córki, poruczyła mi opiekę nad nią. Byłem obecnym przy jej zgonie. Widziałem, że pasuje się ze śmiercią, że jej coś ciąży na sercu — nareszcie zebrała ostatnie siły, wyciągnęła do mnie kostniejącą rękę, którą uścisnąłem i rzekła drzącym, grobowym głosem: „Panie Janie — ja umieram — czuwaj nad Anielcią — bądź jej opiekunem, ojcem.... Maciej zajęty mamoną — sądzi, że to całe szczęście... Gdybyś widział, że Artur nie godzien...“ Tu opadły ją siły zupełnie — ścisnęła mię konwulsyjnie za rękę, spojrzała na mnie wzrokiem tak błagającym, że mi aż serce pękało z żalu i wyjękła z okropną boleścią: „Pan mnie rozumiesz!“ Te były jej ostatnie słowa. I nim zdołałem ocknąć się, wydobyć się z pod wpływu okropnego wrażenia i zapewnić ją, że święcie wypełnię jej ostatnią wolę — oddała już Bogu czystego ducha swego!....

(ociera łzy z oczu).

MICHAŁ.

Więc wspominała o Arturze! — może wieszczym duchem przewidziała —

JAN.

Przewidziała, że Artur nie będzie godzien ręki Anieli. I tak się stało!

MICHAŁ.

Czy tak?

JAN.

Tak drogi Michale. Tymczasem Aniela oślniona świetną jego powierzchownością, pod którą ukrywa zgrabnie największy egoizm, zajęła się nim i kocha go.

MICHAŁ (z boleścią).

Czy tak? A ojciec?

JAN.

Ojciec?.... ojciec zaślepiony blaskiem jego tytułu i majątku gotów jest mu dać ją za żonę.

MICHAŁ.

Artur jest we Lwowie — stoi w tym hotelu — mówił mi garson!

JAN.

Bawi tu od dwóch miesięcy i podobno targuje się z Próżnickim o posag.

MICHAŁ.

Czy podobna? Więc to tylko spekulacya?

JAN.

O tak! niestety! Jemu tylko o posag idzie — on niezdolny prawdziwej miłości.

MICHAŁ.

Czy często odwiedza Anielę?

JAN.

Dosyć rzadko bywa u nich. A jak przyjdzie to się wykręci kilka razy koło Anielci — powie jej kilka czczych grzeczności: *qu' elle est charmante, plus charmante, que toutes ses connaissanses de Paris*" naplecie ciotce banialuków o życiu paryzkiem i idzie na chwilkę do pokoju Próżnickiego.

MICHAŁ.

Cóż więc robi we Lwowie?

JAN.

Przesiaduje po całych wieczorach u jakiejś wdowy po jenerale rosyjskim — fetuje swoich młodych przyjaciół i ugania konno po ulicach.

MICHAŁ.

Więc to istny wietrznik!

JAN.

Znałeś go podobno?

MICHAŁ.

Znałem — nawet krótki czas był ze mną w za-

kładzie wychowawczym — ale go wydalono za jakiś skandał. —

JAN.

Znałem ojca — dobry to był człowiek, ale słaby, a matka kobieta miałkiego rozumu. Nie umieli kierować jego wychowaniem.

MICHAŁ.

Przypominam sobie, że miał jakiegoś guwernera Francuza — człowieka bez czci i wiary, który go psuł okropnie.

JAN.

Tak, tak — to skutki skrzywionego wychowania; w 16. r. życia umiał już prawie na pamięć Koka i inne podobne bezeceństwa, ale nie umiał uczciwie pacierza zmówić po polsku.

MICHAŁ.

Ciekawym jaki też wpływ wywarły na niego podróże — dłuższy pobyt w Paryżu, w Bruxelli?

JAN.

Zobaczysz!.... Wstydzi się mowy i zwyczajów swoich ojców! Ot! (machnął ręką) ..... Zresztą sam go ocenisz....

MICHAŁ.

Dziwię się bardzo, jak mogła Aniela — istota wyższa nad niego pod każdym względem, zająć się takim wietrznikiem.

JAN.

I ja się dziwię, lecz mniej od ciebie.... W wieku, w którym zaczyna budzić się w kobiecie uczucie miłości, poznała Aniela dwóch mężczyzn: Artura i ciebie.... Artur był zawsze wesół, nadskakujący — ty zadumany, poważny — Artur wszystkim i wszystkiemu schlebiał, ty chłostałeś przeciwnie ironią i sarkazmem — Artur mawiał, że jego żona będzie *femme du monde, grande dame;* ty wynurzałeś się, że twoja musi być wzorem cnót domowych, dobrą matką, gospodynią.... — Artur obiecywał swej żonie wystawne życie wśród zbytków, zabaw i rozkoszy; ty zacisze wiejskie, świątynię Hymenu pośród gór, lasów i strumyków. Cóż więc dziwnego, że młoda, niedoświadczona dziewica zajęła się więcej lekkim Arturkiem, niż poważnym Michałem. Zresztą ty nie dałeś jej się poznać — tyś jej nigdy nie oświadczył miłości swojej.

MICHAŁ.

Ja nie miałem odwagi starać się o jej rękę dopóki byłem bez mienia. Obawiałem się, by mię nie posądzono o spekulacyą na jej posag.

JAN.

To bardzo pięknie, bardzo szlachetnie, ale niepraktycznie.

MICHAŁ.

Czy Artur pisywał do Anieli z zagranicy?

JAN (machnął ręką).

Ale gdzie tam! W ciągu dwóch lat raz tylko napisał do jej ojca etykietalny list z kondolencyą z powodu śmierci żony, a na końcu dodał w przypisku: *„Mille complimens à Mlle. Angélique.“*

MICHAŁ.

Jakże ona znosiła tę jego obojętność?

JAN.

Z początku mocno się niepokoiła — później smutek i żal po stracie matki całkiem opanował jej serce i nie dał przystępu innym uczuciom...

MICHAŁ.

A gdy Artur wrócił?

JAN.

Gdy wrócił — przebaczyła mu — przypisała to jego roztargnieniu — — i kocha go jak dawniej.

MICHAŁ (z boleścią).

Dziwna istota! Więc dla mnie podobno już nie ma nadziei!

JAN.

Owszem jest nadzieja, ale należy działać!

MICHAŁ.

Jak to?

JAN.

Oto radzę ci, żebyś zabawił jakiś czas we Lwowie i bywał często w domu Próżnickiego — ażebyś się dał bliżej poznać Anieli, ciotce i ojcu, ażebyś odsłonił przed niemi przymioty swej duszy i zjednywał sobie powoli ich poważanie i przywiązanie.

MICHAŁ.

To łatwiej powiedzieć, niż wykonać.

JAN.

Zacznij od dzisiejszego wieczora!

MICHAŁ.

Pójdę za twoją radą, zacny przyjacielu — lecz nie mam nadziei.

Drzwi się szeroko otwierają, wchodzi Artur utrefiony z szpicrutem w ręku.

SCENA IV.

Ci sami. ARTUR.

ARTUR podając etykietalnie rękę Michałowi, a nie zważając wcale na komornika.

Jak się ma pan Michał? Dowiedziałem się, że tu stoi i przyszedłem powitać dawnego kolegę.

MICHAŁ.

Dziękuję za pamięć. (Wskazując z uszanowaniem na

Jana) Mam zaszczyt przedstawić panu kómornika Jana Żytomskiego, szanownego przyjaciela mego.

ARTUR (skinąwszy lekko głową rzuca się na sofę mówiąc): Pozwól panie Michale — bom zmęczony...

MICHAŁ.

O! bardzo proszę!

ARTUR.

Zdaje mi się, że pan Żytomski prowadził interesa mego nieboszczyka ojca....

JAN (zimno).

Tak, tak.

ARTUR.

Miło mi poznać (kiwa głową) (dobywając porte-cigares do Michała) Może pozwolisz służyć sobie wyśmienitem cygarem (podając mu porte-cigares) *Servez-vous en, mon cher*, po 2 franki sztuka, wyborne!....

MICHAŁ.

Dziękuję — ja palę zwyczajne po dwa grajcary i oto są (wskazuje na cygara leżące na stoliku) może hrabia zapalisz?

ARTUR.

Merci, et pardonnez, że zapalę swoje (zapala cygaro swoje) Nie pojmuję, jak to można palić, *ce n'est que pour la ca (naille)* (nie domawia).

MICHAŁ (z uśmiechem politowania).

Dziś nas nie stać na lepsze!

ARTUR.

A propos, panie Michale — mam go o coś zapytać.

JAN (przerywając).

A ja cię pożegnam Michasiu (ściskając go serdecznie, Arturowi kłania się z powagą i odchodzi).

ARTUR (nie ruszywszy się z miejsca).

Adieu!

Michał odprowadza kómornika za drzwi, po chwili wraca i siada na krześle obok Artura.

SCENA V.

ARTUR. MICHAŁ.

MICHAŁ.

Służę ci hrabio! słucham.

ARTUR.

Ale pierwej odpowiedz mi jak się masz, co tu robisz?....

MICHAŁ.

Mam się dobrze — pracuję, praca moja pomyślnym uwieńczona skutkiem —

ARTUR.

A słyszałem, że ma piękny mająteczek — czyś się ożenił?

MICHAŁ.

Dotychczas nie —

ARTUR.

Dla czego?

MICHAŁ.

Bo — nie mogę się ożenić z tą, którą kocham.

ARTUR (szydząc).

C' est bien drôle! Kocham — kocham. Alboż to koniecznie trzeba kochać?

MICHAŁ.

Ja przynajmniej nie mógłbym ożenić się inaczej!

ARTUR.

A gdyby n. p. ta, którą pan kochasz nie miała posagu?

MICHAŁ.

Tobym się z nią tem prędzej ożenił.

ARTUR.

Nie pojmuję.

MICHAŁ.

Słyszałem, że hrabia się żenisz....

ARTUR (obojętnie).

A tak! Mam się ożenić z panną Próżnicką. Potrzebuję żony, ażeby zdobiła mój dom — robiła w nim honory — zresztą *à vous dire franchement* — posag bardzo mi się przyda.

MICHAŁ.

Wszakże jesteś bogaty —

ARTUR.

Mam znaczny majątek — to prawda, ale mam też ogromne wydatki. *Vous savez bien, que nous autres* panowie (z dumą) musimy prowadzić dom odpowiedni naszemu urodzeniu, tytułowi — *Enfin* przez dwuletni pobyt za granicą zaszargałem się cokolwiek.

MICHAŁ.

Więc hrabia szukasz właściwie posagu, nie żony?

ARTUR.

Nie — ja szukałem i znalazłem żonę z posagiem. Żony bez posagu wziąćbym nie mógł w żaden sposób i prawdę mówiąc prędzej zdecydowałbym się wziąć posag bez żony, niż żonę bez posagu.

MICHAŁ (do siebie.)

Co za bezczelny egoizm! (do Artura) Więc gdyby panna Aniela nie miała posagu, tobyś się z nią nie ożenił.

ARTUR.

Ma foi non! — Ale *à propos* panny Anieli chciałem zapytać —

MICHAŁ.

Słucham.

ARTUR (z namysłem).

Oto widzisz pan.... tak *entre nous soit dit*.... ja nie wiem dotychczas.... ja (zająkuje się nie mogąc znaleźć właściwego wyrazu polskiego) *je ne suis pas initié au sécrets de cette famille.* Czy nie mógłbyś mię pan oświecić?

MICHAŁ.

Lecz nie rozumiem o czem oświecić — nie wiem o żadnych tajemnicach familijnych. —

ARTUR.

Sądzę, że będąc w przyjaźni z Janem, musisz znać dokładnie stosunki majątkowe.

MICHAŁ.

Przyznam ci się, że nigdy się o nie nie dowiadywałem — to dla mnie rzecz bardzo obojętna.

ARTUR.

Mianowicie czy nie wiesz, jakie są zamiary Szambelanowej, czy Aniela może się co spodziewać....

MICHAŁ.

Nie umiem powiedzieć.

ARTUR.

Bo ja słyszałem, że Szambelanowa ma niedorzeczny zamiar zapisania całego majątku na ubogich.

MICHAŁ.

Tak mówią.

ARTUR.

Otóż idzie o to, czyby się to powoli nie dało przerobić....

MICHAŁ (do siebie).

Niegodziwiec! (do Artura z niechęcią) Nic nie wiem.

(wchodzi garson).

SCENA VI.

Ci sami. GARSON.

GARSON (z ukłonem).

Proszę pana hrabiego, jakiś pan Plewkiewicz pyta o jaśnie pana — powiedziałem mu, że jaśnie pan tutaj — mówi że ma pilny interes (czeka przy drzwiach).

ARTUR.

Niech zaczeka — albo (z zakłopotaniem) — mój *Jaques* wyszedł i wziął klucze z sobą.... nie wiem....

MICHAŁ.

Jeśli pilny interes — to zawołaj go hrabia tutaj a ja wyjdę tymczasem do pierwszego pokoju przebrać się.

ARTUR.

Bardzom ci wdzięczny. (do garsona czekającego) Jak pan Sulimowski wyjdzie do pierwszego pokoju — to wpuścisz tu Plewkiewicza.

MICHAŁ (do Artura).

Jak się przebiorę wyjdę do miasta — jak hrabia skończysz z tym panem i zechcesz wyjść, to oddaj klucze garsonowi! do widzenia się!

ARTUR (wstając).

Au plaisir! mon cher!

MICHAŁ (do garsona).

Zabierz moje suknie i zanieś za mną (wychodzi).

GARSON (zabierając suknie, do Artura).

Zaraz wpuszczę Plewkiewicza (odchodzi).

SCENA VII.

ARTUR. PLEWKIEWICZ.

PLEWKIEWICZ (z niziutkim ukłonem).

Ścielę się do stopek jaśnie wielmożnego hrabiego!

ARTUR.

Cóż powie? Czy dowiedział się o wszystkiem?

PLEWKIEWICZ (prędko mówi).

Mogę jaśnie wielmożnemu panu zdać najdokładniejszy raport. Jakoż *primo*: (licząc na palcach) JW. pan Próżnicki ma i posiada 300.000 złr. m. k. u bankiera wiedeńskiego pana Taube et Comp., *secundo*: Gotówki nie będzie mógł zaraz dać, bo bankier obiecał dopiero za trzy miesiące wraz z prowizyą przysłać — *tertio*: JW. Szambelanowa nosi się wprawdzie od 24 lat z intencyą zapisania całego majątku swego na zakłady, instytucye i fundacye dobroczynne *pro genere feminino*, ale nic jeszcze nie zrobiła. Boi się robić testament, żeby nie umarła — jest więc *optima spes*, że stara kłapnie kiedyś bez testamentu, a wtedy *quarto*: JW. panna Aniela Próżnicka, a przyszła Jwielmożna hrabina Próchnicka jako najbliższa krewna JW. Szambelanowej, ciotki swojej, odziedziczy według §§. 684 kodexów cywilnych i późniejszych dodatkowych rozporządzeń — cały jej majątek.

ARTUR.

To wszystko dobrze — ale jak się zabezpieczyć co do sumy posagowej?

PLEWKIEWICZ.

Otóż to sęk JW. hrabio i nad tem nie mało sobie głowy nałamałem.

ARTUR.

A projekt intercyzy napisałeś?

PLEWKIEWICZ.

Oto jest (oddaje mu papier wyciągniony z zanadrza). Na zupełną korzyść JW. hrabiego — o intabulowaniu sumy posagowej na dobrach JW. hrabiego ani wzmianki.

ARTUR.

Comme de raison! To rzecz główna — ale jak się zabezpieczyć?

PLEWKIEWICZ.

Pan Próżnicki ma weksle bankiera, da weksle!

ARTUR.

To nie dosyć. To mnie nie zabezpiecza! W ciągu trzech miesięcy może bankier — —

PLEWKIEWICZ.

Otóż i na ten *casus* mam radę. Potrzeba zmusić pana Próżnickiego, żeby wymógł na Szambelanowej pozwolenie tymczasowego zaintabulowania tej sumy posagowej na jej dobrach *primo loco*, z prawem niezwłocznej licytacyi tych dóbr w razie niewypłacenia tej sumy za rok i miesięcy trzy.

ARTUR.

Ale czyś oszalał? Gdzieżby Szambelanowa pozwoliła!

PLEWKIEWICZ.

Moja w tem głowa (bije się ręką po czole) Ho! ho! pan Gerwazy już większych rzeczy dokazał!

ARTUR.

No to próbuj — zajmij się tem — a ja....

PLEWKIEWICZ.

Niech jaśnie pan liczy na mnie jak na cztery tuzy — ale (kłania się z filuternym uśmiechem) ośmielam się prosić łaski JW. pana o antycypacyjkę na koszta.

ARTUR.

Jakie koszta? (dobywa pulares).

PLEWKIEWICZ.

Człek musi żyć — chodzić po tabulach, sądach, urzędach — z tym wypić kieliszeczek wódeczki, z tamtym szklanczynę miodku — owego zaprosić na obiadek — wcisnąć coś do rąk lokajowi — zatkać gębę cukierkiem gadatliwej pokojóweczce! — Ot jaśnie panie, ręka rękę myje.

ARTUR.

No, no, przestań już. Oto masz tymczasem, (daje mu banknot) a jak sprawa dobrze pójdzie, wynagrodzę po pańsku. Tylko milczeć — bo to interesa familijne!

PLEWKIEWICZ (odbierając banknot chucha w niego kłania się niziutko).

Scielę się do stóp JW. hrabiego (wychodząc przy drzwiach do siebie) Niech żyją interesa familijne! Toż to sobie dziś łyknę miodku (połyka ślinkę i odchodzi).

ARTUR.

Co to za przebiegła sztuka!

(Dzwoni na garsona).

SCENA VIII.

ARTUR. GARSON.

ARTUR.

Czy pan Sulimowski już wyszedł?

GARSON.

Już jaśnie panie!

ARTUR.

Idźno popatrz na górę, czy mój *Jaques* już wrócił i daj mi wiedzieć.

GARSON.

Natychmiast jaśnie panie.

(Kłania się i odchodzi).

SCENA IX.

ARTUR sam (chodząc, potem JAQUES).

Ciekawy jestem, jak się ta rzecz ułoży... (staje) *Une affaire très importante!* 300.000 złr. m. k. posagu! to znaczy więcej niż pół miliona franków. Mój majątek oszacowany na 400.000 złr. m. k. czyli milion franków; *cela fait un million et demi!* Półtora miliona franków! Będę więc milionowym panem. (z wyniosłością) Jak to pięknie brzmi: *Un millionaire!.... Comte et millionaire!....* I żona młoda, ładna — włoży się wnet w nasze maniery.... — pod moim kierunkiem! Będzie *dame du grand monde!.... comtesse!* A jak nam wszyscy będą zazdrościć, jak nas będą podziwiać: Jaka piękna para! a jakie bogactwa! *Je serai heureux, très heureux!*

SCENA X.

ARTUR. JAQUES (stojąc potulnie przy drzwiach).

JAQUES.

Plâit-il Mr. le Comte? (złą pronuncyacyą).

ARTUR (gniewnie).

Już tyle milionów razy wymawiałeś gapiu to: *plâit-il Mr. le Comte* (akcentowane), a nie możesz się nauczyć. Zawsze przebija się w tobie *gamin* galicyjski!

JAQUES (kłaniając się, lepszą trochę wymową).

Plâit—il Mr. le Comte?

ARTUR.

Wyjdę teraz na chwilkę — ty odniesiesz tymczasem to pudełko, które z cukierni przyniosłeś do panny Próżnickiej — potem mię przebierzesz do wizyt porannych; *comprends tu?*

JAQUES.

Oui, oui Mr. le Comte (złą pronuncyacyą, tak jakby chciał powiedzieć po polsku że ujé kogo).

ARTUR.

Ten pokój zamkniesz i oddasz klucz garsonowi.

(wychodzi).

SCENA XI.

JAQUES sam (z miną gęstą).

Diabli nadali z tą francuszczyzną — człek sobie łamie język na wszystkie strony, kręci nosem, wykrzywia gębą i zawsze źle.... Zawsze muszę oberwać jakiś komplement od mego pana. (Idzie do stolika, a zobaczywszy cygara Michała, bierze jedno i zapala)... Ależ to diabelnie kiepskie kurzenie — mój hrabia pali lepsze, jak człek zaćmi, to się aż w głowie rozjaśni.... A pachną, aż miło.... jak.... nieprzymierzając macie-

rzanka.... Ja sobie też nie żałuję.... Ale to — ot tfy (spluwa).... (po chwili idzie do stołu i chowa kilka cygarów do kieszeni) Trza potraktować Mikołaja furmana — taki mudio będzie myśleć, że to prosto z Ameryki.

Odchodzi i zamyka z drugiej strony na klucz.

KONIEC AKTU I.

AKT DRUGI.

Salon wytwornie urządzony w domu pana Próżnickiego, po prawej kanapa, fotele i krzesła aksamitem obite — po lewej stół mahoniowy — przed nim fotel — dalej krzesło — na stole gazety i dzwonek. Na ścianie portret nieboszczki matki Anieli. — W głębi drzwi do przedpokoju, po prawej drzwi do apartamentów Anieli i Szambelanowej — po lewej do pokojów pana Próżnickiego.

SCENA I.

KAROLCIA sama ścierając pył z kanapy — potem Jaques.

KAROLCIA.

Bardzom ciekawa, co to z tego będzie.... Nasz poczciwy pan kómornik, opiekun mojej kochanej pannuńci, nie życzy sobie żeby poszła za pana hrabiego — a znów nasz pan i pani Szambelanowa są bardzo za tem.... Wydziwić się nie mogę, gdzie panna

Aniela oczy podziała.... W czem się tu było zakochać!.... Takie to szczupłe, blade, wymokłe — a dumny. — Prawda że gładziutki, wymuskany... oh! i bogaty; ale serca nie ma — oh! nie ma. To zaraz można poznać........

Dobrze to mówią: Jaki pan — taki kram. Ten jego kamerdyner *Jaques* co to dawniej, gdy się nazywał Jakóbem smalił cholewki do mnie, jak wrócił z podróży to taki jakiś błazen się zrobił, że aż nie miło patrzyć na niego. Ani grzeczności, ani czci, ani wiary w nim nie ma.... Muszę z nim zerwać i powiedzieć Wojciechowi, że będę jego żoną....

(ustawia krzesła).

JAQUES (który wszedł po cichu z pudełkiem w ręku i stojąc od chwili przy drzwiach słyszał ostatnią apologią Karolci):

Kochana Karolciu! (przybliża się) *Ma chère Charlotte!* (z przymileniem).

KAROLCIA (obracając się z oburzeniem).

Bardzo sobie wypraszam najprzód: nie nazywać mię ani Karolcią ani Charlotte tylko panną Karoliną.... a potem nie zakradać się jak złodziej, tylko wchodzić śmiało i otwarcie jak uczciwi ludzie. Tego się Jakób pewnie w Paryżu nauczył. U nas to jeszcze nie uchodzi, dzięki Bogu!

JAQUES.

A ja bardzo proszę nie nazywać mię Jakóbem, tylko panem Żakiem.

KAROLCIA.

Dobrze! przepraszam pana (z przekąsem) Ale *żak* to u nas znaczy berbeć, bęben....

JAQUES (z umizgiem przybliża się do niej i chce ją wziąć za rękę).

Panno Karolino! — ja....

KAROLCIA (spojrzała nań surowo i usuwa się).

Bardzo proszę z daleka — o trzy kroki — albo lewo w tył i marsz.

JAQUES (z urazą).

Aj jaj! jakie wy tu wszystkie dumne — ani przystąpić do was. Paryzkie subretki mądrzejsze od was i bardzo ładne, a nie takie srogie. Tam każda trzepie po francuzku lepiej niż wasze panie, a przecież łatwo ją można rozkochać....

KAROLCIA (śmieje się).

Cha, cha, cha.... mądre, umieją wszystkie po francuzku cha, cha, cha.

JAQUES (wpada w zapał).

U pani markizy, gdzie mój pan hrabia często bywał na herbacie, była śliczna subretka — jak człek do niej przemówił raz, drugi — jak ścisnął za rączkę, dał kilka bonbonków — ta i już się zakochała na śmierć!....

KAROLCIA (śmieje się z miną szyderczą).

Jakże to pan Żak przemawiał do niej, pewnie na migi?

JAQUES.

Trochę na migi — a trochę po francuzku!

KAROLCIA.

Jakże to było (filuternie). Niechno pan Jaques pokaże!

JAQUES (patetycznie, gestykulując rękami na wszystkie strony).

Moi.... aime.... dame! (przykłada rękę do serca) *moi... chien.... fidèle.... moi.... la mort....*

KAROLCIA (pękając od śmiechu).

Cóż to znaczy?

JAQUES.

To znaczy: ja kocham panią, ja pani wierny jak pies do śmierci!

KAROLCIA.

Cha, cha, cha! Bardzo czule Cha, cha, cha!

JAQUES (urażony).

Mnie mój pan hrabia tak nauczył, bom go prosił, a mój pan musi się najlepiej na tem rozumieć, bo on się margrabinie i markizie po trzy razy na dzień oświadczał....

KAROLCIA.

Tak? (do siebie) Biedna moja panna (do Żaka) I czemużeś się pan Żak nie ożenił z tą mądra panieneczką?

JAQUES (z umizgiem).

Bom pannie Karolci przyrzekł!

KAROLCIA.

O! wielka szkoda — nie trzeba się było żenować — Karolcia zupełnie zapomniała o panu Żaku i wkrótce będzie panią Wojciechową.

(Kłania mu się komicznie).

JAQUES.

Mon Dieu! czy tak?

KAROLCIA.

Oh! tak, tak — a teraz do rzeczy: (ostro) co pan Żak rozkaże — proszę się spieszyć, bo mój pan nadchodzi!....

JAQUES (pomięszany).

Oto pan hrabia przysyła to pudełko z bonbonkami dla panny Anieli.

KAROLCIA (odbierając z daleka).

Panie są w kościele, jak wrócą oddam. A teraz żegnam (kłania mu się nisko).

JAQUES (odchodząc śle jej całusy ręką).

Chère Charlotte ! Belle ! Moi.... aime.... moi.... chien.... (odchodzi drzwiami w głębi) (Próżnicki wchodzi z lewej strony).

SCENA II.

KAROLCIA. PRÓŻNICKI.

PRÓŻNICKI (ostro).

Co tu robisz ?

KAROLCIA.

Zmiatałam prochy i rozmawiałam z Żakiem.

PRÓŻNICKI (ostro).

Czy znów dawne umizgi ? (siada przy stole na lewo).

KAROLCIA (spuszcza oczy).

O ! wcale nie. Zerwałam z nim zupełnie. To ladaco ! W Paryżu popsuł się do reszty.

PRÓŻNICKI.

Jak to ? zerwałaś ? wszakże miałaś iść za niego.

KAROLCIA.

Nie — nie pójdę — nie wart mnie —

PRÓŻNICKI.

Wszak to porządny chłopiec — jest w łaskach u hrabiego.

KAROLCIA.

Ah! tak — ma porządną liberyę — świetlące guziki — ale w głowie i w sercu pustki. Kubek w kubek podobny do swego pana.

PRÓŻNICKI (z gniewem).

Milcz!

KAROLCIA.

Niech pan daruje, ale ja muszę powiedzieć co mam na sercu.

PRÓŻNICKI.

No cóż tam?

KAROLCIA (ze łzami).

Ja taki muszę panu powiedzieć, że panuńcia powinna tak zrobić z panem hrabią jak ja z Żakiem — zerwać zupełnie. Ona będzie nieszczęśliwą! (płacze).

PRÓŻNICKI (wstaje z wściekłością).

Milcz! bo cię natychmiast z domu wypędzę! Precz mi z oczu!

KAROLCIA (łkając chce odchodzić).

Dobrze! pójdę!....

PRÓŻNICKI (łagodnie).

Karolciu! chodź-no! Tyś poczciwa dziewczyna — to pięknie że ty tak kochasz twoją panią. Ale wła-

śnie dla tego, że ją tak kochasz, to nie odzywaj się przy niej z takiemi bajkami. Żak musiał ci coś nabajać — a ty uwierzyłaś i chcesz plotki robić. Niech Bóg broni — jakby panna Aniela coś podobnego usłyszała — toby się rozchorowała, i mogłaby umrzeć ze zmartwienia....

KAROLCIA (z boleścią).

Ach prawda! jaka ja nieroztropna! przysięgam panu, że ani pisnę.... A może to i bajki....

PRÓŻNICKI.

No idź teraz, a nie pokazuj się pannie, żeby nie poznała po tobie, żeś płakała. A co to masz?

KAROLCIA.

To pudełko z cukierkami od pana hrabiego dla pani mojej. Żak przyniósł.

PRÓŻNICKI.

No to je odnieś do pokoju panny (kiwając palcem) a pamiętaj! —

Karolcia wychodzi drzwiami w głębi — Aniela wchodzi przez drzwi po prawej stronie.

SCENA III.

PRÓŻNICKI. ANIELA (z koszyczkiem do roboty w ręku).

ANIELA (przybliżając się do ojca — całuje go w rękę z uszanowaniem).

Dzień dobry, tatuńciowi — jak zdrowie kochanego tatuncia?

PRÓŻNICKI (całuje ją w czoło).

Tak, tak, nie źle się mam.... czy ciotka jest w domu?

ANIELA (oparta o fotel ojca).

Nie wróciła jeszcze. Jeździłyśmy razem do kościoła — po mszy odwiozła mię do domu, a sama pojechała do zakładów siérot, do swojej biednej wdowy i jeszcze podobno miała wstąpić do towarzystwa dam dobroczynności.

PRÓŻNICKI.

Chciałbym z nią pomówić o dzisiejszej recepcyi. Radbym, żeby się wszystko świetnie odbyło — wszak to twoje zaręczyny.

ANIELA.

To rzecz tak małej wagi — niech się tatuńcio tem nie troszczy.

PRÓŻNICKI (niecierpliwie).

To nie jest rzecz małej wagi! Ciotka skąpi,

trzęsie się nad wszystkiem, gotowa mi wstyd zrobić przed hrabią.

ANIELA.

Ciocia taka dobra, zawsze stosuje się do woli tatuńcia.

PRÓŻNICKI.

Trzebaby dowiedzieć się od Żaka, co Artur najlepiej lubi — jakie wina pija.

ANIELA.

On mi mówił, że nigdy nic nie pija.

PRÓŻNICKI (niecierpliwie).

No, ale przecież wino być musi, i to wyborne — kilka gatunków — kolacya suta — —

ANIELA.

Tak będzie jak tatuńcio każe — ale to mniejsza, mnie coś innego niepokoi....

PRÓŻNICKI (z przerażeniem do siebie).

Miałażby ta plotka?! (do Anieli łagodnie) Cóż ci dziecię?

ANIELA.

Najprzód to mię boli, że tatuńcio od niejakiego czasu taki jakiś smutny, małomowny, zamyślony.... a prócz tego....

PRÓŻNICKI (czule).

Nie dziw się, moje dziecię — wiesz, jak cię kocham, a bliska chwila rozstania się z tobą nie może mnie usposabiać do wesołości.... Luboć przekonany jestem, że oddaję cię w poczciwe ręce, jednakże myśl, że mię opuścisz (przyciąga ją do siebie i całuje w czoło) Ty kochasz Arturka, nieprawdaż?

ANIELA.

Kocham go! i przyznam się tatuńciowi, że może więcej go kocham niż powinnam.

PRÓŻNICKI (niecierpliwie).

Oto masz kobietę — wszystkie jesteście jednakowe — chcecie żeby mężczyźni czołem przed wami bili....

ANIELA.

Nie — ja tego nie wymagam, ale żądam odwzajemnienia mojej szczerej miłości — a pan Artur...

PRÓŻNICKI (łagodnie).

Oh! daruj, daruj mu drogie dziecię, że do nas nie pisywał — lecz to więcej z roztargnienia, niż z braku czułości. On trochę trzpiot to prawda, — ale ma dobre serce i ustatkuje się — —

ANIELA.

I ja się spodziewam tego — bo....

PRÓŻNICKI.

Bo nie uwierzysz, kochana Anielciu jaki zbawienny wpływ może wywrzeć światła, cnotliwa i kochająca żona na męża, choćby nawet zepsutego, a hrabia nim nie jest — on tylko trochę lekki, roztrzepany — zwyczajnie *un homme du grand monde; voilà tout!*

ANIELA.

Ta jego skłonność do zbytków niepokoi mię — jabym wolała żyć mniej wystawnie, a więcej wspierać ubogich....

PRÓŻNICKI.

I w tem się odmieni. Zresztą on nie trwoni — jest oszczędny. Tylko ma w sobie dużo pańskości — lubi wystawność. No.... ależ, tytuł jego nakazuje mu to.

ANIELA (z pokorą).

Niech mi tatuńcio daruje, ale ja to inaczej pojmuję. Ja sądzę, że im kto wyższy urodzeniem, stanowiskiem i majątkiem, tem szlachetniejszemi, tem wznioślejszemi powinien kierować się uczuciami — powinien przodkować innym, a szczególnie niższym światłem, godnością i cnotami obywatelskiemi w życiu prywatnem i publicznem.

PRÓŻNICKI.

Tak, tak — to się powoli zrobi — ty go podniecisz. Chociaż z drugiej strony może to i lepiej,

że Artur nie jest tak bardzo miękki i dobroczynny, jak ty, bo jakbyście oboje zaczęli na wszystkie strony rozdawać, toby wam samym nie wystarczyło. — No, a on dużo potrzebuje — musi utrzymać się w tonie.

ANIELA.

Dobroczynność ma także pewne granice. Ale ja tylko to chcę powiedzieć: że Bóg nie na to nam dał dostatki, ażebyśmy dogadzali swym zachceniom i namiętnościom — lecz żebyśmy *dobrze* czynili — a im więcej kto ma, tem więcej powinien udzielać ubogim.

PRÓŻNICKI.

No tak, tak! Powoli porozumiecie się.... Ale cóż ci jeszcze ciąży na sercu? — powiedz-no!

ANIELA (z westchnieniem).

Miałam sen — widziałam drogą matkę moją (spogląda na portret) Na głowie miała koronę sprawiedliwych — w ręku dwa wieńce mirtowe — jeden włożyła na moją głowę i błogosławiła mi — drugim

PRÓŻNICKI (szybko).

Uwieńczyła Artura?

ANIELA.

Nie — innego —

PRÓŻNICKI (niecierpliwie).

Ale śmiej się z tego! — Dziwię się jak może osoba tak światła, tak pobożna wierzyć w sny. Zostaw to gawiedzi!

ANIELA.

Śniło mi się także, że portret kochanej mamy mojej (Próżnicki robi poruszenie lękliwe) spadł ze ściany, a tatuńcio pamięta, że jak mama skończyła — —

Wchodzi Szambelanowa z prawej strony i przerywa rozmowę.

SCENA IV.

Ci sami. SZAMBELANOWA.

SZAMBELANOWA (idzie do brata, który wstaje i całuje ją w ramię).

Dzień dobry ci Macieju!

PRÓŻNICKI.

Dzień dobry ci Tereńciu! Objechałaś już wszystkich?

SZAMBELANOWA siada na kanapie, obok w fotelu Aniela z robótką (głosem powolnym).

O już! modliłyśmy się z Anielcią. Trafiłyśmy u Bernardynów na żałobne nabożeństwo. Uderzył mię przyjemny widok!

PRÓŻNICKI (do siebie).

Zapewne znowu jakaś sierota albo wdowa!

SZAMBELANOWA.

Na stopniu ołtarza przed którym mszę świętą odprawiano, klęczał młody mężczyzna — czarno ubrany i gorąco się modlił. Łzy płynęły po jego policzkach. Zaintrygował mię tem bardziej, że taka przykładna pobożność rzadka u naszych paniczów miejskich. Przypatruję mu się bliżej i poznaję....

ANIELA (z drżącem sercem).

Artura?

SZAMBELANOWA.

Michała.

PRÓŻNICKI (do Anieli).

Zkądże ci znów przychodzi do głowy — Artura o tej porze w kościele. Artur potrzebuje czasu do przyzwoitej toalety. — Około pierwszej godziny to co innego!

SZAMBELANOWA (obracając się do Anieli).

Jak się z tobą rozstałam, pojechałam do kancelaryi towarzystwa dam dobroczynności. — Sekretarz powiedział mi, że nasz fundusz pomnożony znaczną ofiarą — zgadnijcie od kogo?

ANIELA (z uniesieniem).

Od Artura?

SZAMBELANOWA.

Nie — od Michała. Złożył obligacye na 1000 złr. jako fundacyą na utrzymanie jednej sieroty. Sekretarz zaproponował mu, żeby tę fundacyą nazwać po jego imieniu. Odmówił — i prosił ażeby tego nie głoszono w gazetach.

ANIELA.

Szlachetna dusza!

PRÓŻNICKI.

To dobry chłopiec, ja wam zawsze mówiłem, że to dobry chłopiec, ale nie ma tonu wyższego, nic pańskiego —

SZAMBELANOWA.

Szkoda że nie ma dystynkcyi Artura!!... Ztamtąd pojechałam odwiedzić moją biedną wdowę z dziewięciorgiem dzieci.

ANIELA.

Matkę Ludwisi, którąśmy wzięły do siebie?

SZAMBELANOWA.

Tak jest. Wybiegła naprzeciw mnie i z niewymowną radością opowiadała mi, że był u niej przed

chwilą jakiś młody pan, ofiarował jej miesięczny datek i wziął pod opiekę swoją jednego synka. —

ANIELA (z uniesieniem).

O gdyby to był Artur! jakżebym była szczęśliwą!

SZAMBELANOWA.

Nie — to Michał!

PRÓŻNICKI.

Ale cóż ci znowu Anielciu! Gdzieżby też Artur włóczył się po przedmieściach — wyszukiwał jakieś tam wdowy. — Zaraz się domyśliłem, że to nie on. Onby posłał faktora albo lokaja — — Ale *à propos* dzisiejszego wieczora! Niechno pani siostra nie szczędzi wydatków, żeby wszystko było świetnie, po pańsku.

SZAMBELANOWA.

Ale na co tego? tyle wydatków!

PRÓŻNICKI.

Bardzo proszę!

SZAMBELANOWA.

Zbytki! niepotrzebne!

PRÓŻNICKI (niecierpliwie).

Ja tak chcę i proszę, żeby tak było! Pani sio-

stra zawsze gdera i gdera.... pierwej gderałaś na męża, a teraz na mnie...

SZAMBELANOWA.

Tak jest, gderałam i wygderałam, bom ocaliła mojem gderaniem i moją oszczędnością przynajmniej swój majątek i dzięki Bogu dzisiaj mogę dopomagać ubogim — ale tu napróżno gderam.

Wojciech wchodzi.

SCENA V.

Ci sami. WOJCIECH.

WOJCIECH.

Proszę jaśnie pana — przyszedł pan Plewkiewicz.

PRÓŻNICKI.

Niech zaczeka w przedpokoju!

WOJCIECH (chcąc odejść).

Dobrze jaśnie panie.

PRÓŻNICKI (zatrzymuje go).

Wojciechu! Albo.... (spogląda z zakłopotaniem na damy)

Wojciech czeka u drzwi.

SZAMBELANOWA.

Chodźmy Anielciu, żeby nie przeszkadzać ojcu.

ANIELA.

Chodźmy ciociu (podaje jej ramię i odchodzą obydwie przez drzwi po prawej stronie).

PRÓŻNICKI (do Wojciecha).

Zawołaj go teraz — tylko uważaj, żeby sobie nogi wytarł — a jak wyjdzie to zakadzisz, bo pewnie trąci trunkiem.

WOJCIECH.

Dobrze jaśnie panie.

(odchodzi).

SCENA VI.

PRÓŻNICKI. PLEWKIEWICZ.

PLEWKIEWICZ (czerwony, kłania się niziutko).

Całuję stopeczki JW. pana.

PRÓŻNICKI (niecierpliwie).

Cóż powiesz? wybadałeś? dowiedziałeś się?

PLEWKIEWICZ.

Byłem w tabuli — dobra czyste, tylko instytut kredytowy ma kilkadziesiąt tysięcy.

PRÓŻNICKI.

A długi nieintabulowane?

PLEWKIEWICZ.

Wynoszą 50 tysięcy — pożyczone na krótkie termina, na weksle — zapewne w nadziei —

PRÓŻNICKI.

Posagu!

PLEWKIEWICZ.

Bez wątpienia. Termin zapłacenia 40.000 złr. przypada za miesiąc.

PRÓŻNICKI (do siebie z niespokojnością).

Więc zechce żeby mu wyliczyć przed ślubem; z Wiednia żadnej wiadomości. (do Plewkiewicza) Wiesz jakie moje zamysły — radbym utworzyć majorat z dóbr hrabiego — ażeby gdy im się syn urodzi — nosił jego i moje nazwisko. —

PLEWKIEWICZ.

Rozumiem — ale musi pierwej długi pozapłacać, dobra całkiem oczyścić....

PRÓŻNICKI.

Na to dam pieniądze — ale ty musisz czuwać.

PLEWKIEWICZ (kłania się).

Rozumiem, ażeby popłacił długi....

PRÓŻNICKI.

Masz mi donosić o wszystkiem. —

PLEWKIEWICZ.

Dobrze jaśnie panie — — ale ja miałem wydatki; musiałem pić z Żakiem, żeby co z niego wyciągnąć, dowiedzieć się — musiałem —

PRÓŻNICKI.

No, no już dobrze! (wyjmuje pieniądze z pularesu) Ty choć nie musisz — to pijesz! (kładzie banknot na stole i wskazuje ręką) Oto masz tymczasem 10 złr., a jak interes dobrze pójdzie, to wynagrodzę po hrabsku. (Bierze ołówek i zapisuje w pularesie).

PLEWKIEWICZ (bierze banknot, kłania się i mówi do siebie):

Rano piąteczka, po południu dziesiąteczka! Gerwaziu! (bije się po czole) tyś wielka głowa!

PRÓŻNICKI.

Tylko milcz — bo to interesa familijne! możesz odejść!

PLEWKIEWICZ (kłania się nisko).

Ścielę się do stóp JW. pana. Będę milczeć jak grób! (odchodząc we drzwiach do siebie) Niech żyją interesa familijne! Będzie miodek i pączyk! —

SCENA VII.

PRÓŻNICKI (sam, rzuciwszy niespokojnym wzrokiem na portret żony, dzwoni, wchodzi Wojciech).

PRÓŻNICKI.

Popatrz-no Wojciechu, czy portret nieboszczki pani mocno wisi — czy przypadkiem gwóźdź.... —

WOJCIECH (idzie do ściany i ciągnię za portret próbując, czy dobrze wisi).

Oh! mocno wisi, jaśnie panie!

PRÓŻNICKI.

No to dobrze — zdawało mi się, że krzywo wisi; odejdź i bądź w przedpokoju.

WOJCIECH (odchodząc do siebie).

Coś źle z moim panem!

SCENA VIII.

PRÓŻNICKI (sam, przegląda gazetę).

Złoto ciągle idzie w górę — papiery spadają.... (z przerażeniem) nowe bankructwa w Wiedniu i w Paryżu.... Jestem niespokojny.... (zadumał się) Może źle zrobiłem, żem nie usłuchał rady pana Jana — taki to co ziemia — to ziemia, pewność największa....

Tak — ale kłopoty, praca — mały procent... (odsuwa smutne myśli) Czcza obawa! Firma mego bankiera szanowana w całej Europie jest mi rękojmią!...

SCENA IX.

PRÓŻNICKI. WOJCIECH (wchodzi z papierem w ręku).

WOJCIECH.

Proszę jaśnie pana, to przynieśli z telegrafu.

PRÓŻNICKI (chwyta za papier, otwiera skwapliwie).

Aha! (wypogodzone czoło) Depesza z Wiednia! zaraz, zaraz, poczekaj Wojciechu (dobywa banknot) Daj to za drogę temu co przyniósł!

WOJCIECH (odchodząc do siebie).

Oh! coś nie dobrze z moim panem — 5 złr. za drogę; a biednemu ani grosza!

SCENA X.

PRÓŻNICKI (sam, czyta głośno):

Depesza telegraficzna z Wiednia, 20. Lutego 1853 roku.

Pełnomocnik Prtak do JW. grafa Próżnickiego we Lwowie. Bankier obiecał złożyć u mnie 100.000 zł.

za dni 14 — resztę za miesiąc. Brawo! (z uniesieniem radości) Tego się spodziewałem! Firma szanowana w całej Europie! Poczciwy Prtak! muszę mu posłać 300 złr. remuneracyi za tak pomyślną wiadomość — .... adresując tytułuje mię *grafem* — poszlę mu 500!.... (wstaje).

A więc (z dumą) moja córka będzie hrabiną — mój zięć szambelanem, dygnitarzem — a mój wnuk jeśli im Bóg da syna — będzie się nazywać: Maciej-Artur hrabia-ordynat Próchnicki-Próżnicki!!!

(W tem spada ze ściany portret żony).

Ha! (z przerażeniem)

KONIEC AKTU II.

AKT TRZECI.

Pokój Michała w hotelu jak w I. akcie.

SCENA I.

MICHAŁ i GARSON z paczką wchodzą.

MICHAŁ (do garsona).

Połóż to na stoliku! Jakby się kto pytał o mnie, to powiedz, że mnie nie ma w domu.

GARSON (kładąc książki).

Dobrze panie! A gdyby pan komornik....

MICHAŁ.

To co innego. Wtedy zapukasz, a ja otworzę. Ale wątpię, żeby przyszedł. Dziękuję ci.

(Garson odchodzi).

SCENA II.

MICHAŁ sam.

Jestem znużony (siada na sofie) jestem jakby odurzony, upojony tą duszną atmosferą Lwowa... Tyle przykrych wrażeń, tyle sprzecznych uczuć razem! Wspomnienie śmierci najdroższej matki, widok okropnej nędzy u nieszczęśliwej wdowy, zajęcie się sierotą — — Muszę odpocząć i zebrać myśli moje..... Te książki dla niej! (Bierze jeden tomik Mickiewicza znajduje przypadkiem „wezwanie do Neapolu" i czyta głośno): Znaszli ten kraj?.... (cicho czyta) Ach (głośno) tam o moja miła, tam byłby raj, gdybyś ty ze mną była!.... (wstaje) O tak! tam byłby raj, gdybyś ty Anielo ze mną była — .... lecz ten raj dla mnie stracony! Wietrznik niegodny — który igra z jej wzniosłem, żywem uczuciem, otrzyma jej rękę i uczyni ją nieszczęśliwą.... A ja — ja będę musiał zamknąć w sobie nieukojoną boleść serca — patrzeć na jej cierpienia i sam cierpieć, cierpieć bez końca! (zadumał się).

(W tem pukają do drzwi, zrywa się i otwiera).

Jan wchodzi.

SCENA III.

MICHAŁ. JAN.

MICHAŁ (ściskając się z nim za rękę).

Jestem strasznie znużony — w nocy jechałem — teraz się nachodziłem.

JAN.

Rozrzewniłeś się w kościele, wzruszyłeś się widokiem nędzy....

MICHAŁ.

Jakto? Siadajże kómorniku!

JAN (siada na sofie, Michał obok niego).

A to co za książki?

MICHAŁ.

To dla panny Anieli. Wspominała mi dawniej, że radaby mieć w zbiorze swoim paryzką edycyję dzieł Mickiewicza, która teraz tak rzadka. Kupując dziś w księgarni kilka dzieł najnowszych dla siebie, dowiedziałem się z radością od księgarza, że ma dla mnie zamówiony przed dwoma laty jeden egzemplarz tego wydania — wziąłem więc i zaniosę jej dzisiaj.

JAN.

Wiesz to będzie wybornie! bo widziałem przed południem jak Artur kupował w cukierni Pasynkowskiego bardzo piękne pudełeczko i kazał je napełnić cukierkami z etykietami francuskiemi. To pewnie dla Anieli. On jej ofiaruje pokarm cielesny — a ty duchowy.

MICHAŁ.

Czy widział cię Artur?

JAN.

Zmięszał się jak mię zobaczył i udał, że mnie nie zna.

MICHAŁ.

Czy byłeś u Próżnickiego — czy widziałeś Anielę?

JAN.

Byłem na chwilkę w jego pokoju — Aniela była wtedy w kościele. Wychodząc spotkałem się z Szambelanową, która właśnie wracała z swych codziennych wycieczek do kościoła i do ubogich swoich.

MICHAŁ.

Cóż pan Próżnicki?

JAN.

Ot (machnął ręką) już mi obmierzła ta jego próżność — ta ciągła spekulacya — — ot (machnął ręką) Prosił mię, żebym dziś wieczór z tobą przyszedł do nich.

MICHAŁ.

Ha! pójdziemy.

Drzwi otwierają się — wchodzi Artur z cygarem w ustach, z fezem na głowie, który dopiero w pokoju zdejmuje zobaczywszy komornika.

SCENA IV.

Ci sami. ARTUR kłania się obydwom etykietalnie, oni odwzajemniają zimno.

ARTUR (do Michała który wstaje).

Pardonnez, mon cher, chciałem się tylko zainformować.... czy ty będziesz wieczór u pana Próżnickiego?

(Komórnik w ciągu tej rozmowy przewraca książkę).

MICHAŁ.

Będę.

ARTUR.

Czy jesteś proszony?

MICHAŁ.

Jestem proszony, ale i bez zaproszenia byłbym poszedł.

ARTUR.

Nie wiesz, czy to będzie *une grande assemblée*, czy tylko *une réunion en famille?*

MICHAŁ.

Nie wiem — zresztą wcale mię to nie obchodzi.

ARTUR (z wielkiem zadziwieniem).

Mais, mon Dieu! C'est cepandant d'une grande importance. Wszakże według tego stosuje się toaleta,

ekwipaż, służba — *Vous savez bien, que nous autres hommes du grand monde...* (Kómornik kiwa głową z politowaniem).

MICHAŁ.

Jeśli to dla hrabiego jest rzeczą tak wielkiej wagi — to najlepiej będzie posłać lokaja i dowiedzieć się.

ARTUR.

Vous avez raison. Zaraz poślę mego *Jaques*...... Ale, ale (zakłopotany zbliża się do kómornika i chce coś mówić — kómornik spojrzał nań z ukosa. Artur cofa się zmięszany i rzecze nakoniec wymuszonym tonem):

Adieu Messieurs. Au révoir! (odchodzi).

SCENA V.

MICHAŁ. JAN.

MICHAŁ (z uśmiechem szyderczym).

Czy słyszałeś panie Janie?

JAN.

Słyszałem, ale się wcale nie dziwię. On dba konsekwentnie o to, co stanowi całą jego wartość — przestrzega czczych form, toalety, etykiety -- odbierz mu to, a nic mu nie zostanie. —

MICHAŁ.

Jak też Szambelanowa o nim sądzi — bo to osoba bardzo rozsądna i cnotliwa.

JAN.

Ona przywiązuje także cokolwiek wartości do jego tytułu — tak zwanej dystynkcyi.... świetnej powierzchowności — ale tylko dopóki sądzi, że pod tą powłoką bije serce czułe i szlachetne.

MICHAŁ.

Czy tak?

JAN.

Bez wątpienia i bądź pewnym, że gdyby się przekonała, że....

(Wchodzi Jaques z miną efronta.)

SCENA VI.

Ci sami. JAQUES.

JAQUES.

Proszę, który to pan komornik Żytomski?

MICHAŁ (wskazując na Jana).

Oto ten pan.

JAN (zmierzywszy Żaka, który zmięszany tem spojrzeniem kłania się nisko).

Czego chcesz?

JAQUES (potulnie).

Proszę wielmożnego pana — pan hrabia prosi wielmożnego pana na górę do siebie, bo ma ważny interes.

JAN (poważnie).

Powiedz swemu panu, że ja mieszkam przy ulicy Jezuickiej pod l. 845 i każdy, ktokolwiek ma do mnie interes, chociażby był nawet księciem udzielnym, tam się do mnie udaje.

JAQUES (kłaniając się).

Dobrze, powiem panu.

JAN.

Możesz jeszcze dodać, że dla tych, co mają interesa do mnie, jestem tylko od 10—12 przed południem, i od 3—5 po południu w domu — więc dziś już za późno.

(Żak odchodzi z niskim pokłonem).

SCENA VII.

Ci sami bez Żaka.

MICHAŁ.

Co za bezczelność!

JAN.

I ty się dziwisz. Ty sądziłeś może, że on umie szanować siwe włosy, zasługi. —

MICHAŁ.

Sądziłem, że przynajmniej w interesie własnym umie działać roztropnie. Wszakże wie, żeś chrzestnym ojcem, opiekunem Anieli....

JAN.

Kiedyżbo duma w nim przemaga. Zresztą przyzwyczajony do tego, że za złoto każdy przed nim czołem bije. — Ale tu się omylił, bo dzięki Bogu nie wszyscy jeszcze upadliśmy tak nisko....

MICHAŁ.

Może już czas zbierać się?

JAN (patrząc na zegarek).

Już po 6tej.

MICHAŁ.

Ja zaraz służę komornikowi, tylko zawołam garsona, żeby za mną książki zaniósł.

Wychodzi.

SCENA VIII.

JAN (sam).

Biedny chłopiec! A taki szlachetny... poczciwy! wzór młodzieży naszej! Żal mi go niezmiernie.... Ani się domyśla, że jako świadek ma dziś podpisać intercyzę przedślubną Artura.... Nie mogę mu powiedzieć — boby nie poszedł i pokrzyżowałby mi moje plany!.... A pan Maciej uszczęśliwiony, że Artur zaszczyca córkę jego swem nazwiskiem i tytułem, za który mu zapłaci 300.000! — — *Utinam sim falsus vates,* ale on kiedyś ciężko za to odpowie.

Wchodzi Michał, za nim garson.

SCENA IX.

MICHAŁ (do Jana).

Służę ci komorniku! (do garsona) Proszę cię, weź te książki i zanieś za mną....

JAN.

No chodźmy!

Idzie naprzód, za nim Michał, nakoniec garson z książkami pod pachą.

SCENA X.

Salon u Próżnickiego jak w I. akcie — na stołach srebrne kandelabry — na stole po lewej rekwizyta do pisania.

SZAMBELANOWA na kanapie, obok niej ANIELA w fotelu.

SZAMBELANOWA.

Wiesz Anielciu, że dotychczas jeszcze nie mogę się uspokoić tak mi żal, że tyle się wydało na tę dzisiejszą recepcyę. Takie zbytki! Bażanty, pasztety, trzy gatunki win. Aż serce boli! I na co to, po co? Opierałam się, ale jak ojciec zaczął hałasować, że ja mu chcę wstyd zrobić, że Artur wyśmiałby nas, że to wreszcie za jego pieniądze — to dla świętego spokoju musiałam wszystko zrobić!

ANIELA.

Niech ciocia daruje tatuńciowi tę słabość jego — zresztą to dziś zaręczyny moje z Arturem — a tatuńcio tak tem uszczęśliwiony!....

SZAMBELANOWA.

To dobrze, moje dziecię, ale zważ-no, że za to co dzisiejszy wieczór kosztuje, mogłoby żyć kilka ubogich rodzin przez cały miesiąc.... To grzech!...

ANIELA.

Słusznie ciocia mówi i ja tego nie pochwalam.

SZAMBELANOWA.

Pamiętaj duszko, jak pójdziesz za Artura, to bądźcie oszczędni, a wspomagajcie ubogich. Bóg to sowicie wynagradza!

Wojciech wchodzi anonsując.

SCENA XI.

Ci sami. WOJCIECH potem MICHAŁ.

WOJCIECH.

Pan Sulimowski!

SZAMBELANOWA.

Prosić (Wojciech wychodzi).

MICHAŁ (wchodzi), zbliża się do Szambelanowej, całuje ją w rękę. Anieli kłania się z uszanowaniem, ona odwzajemnia).

SZAMBELANOWA (podnosząc się z kanapy, wita Michała).

Bardzo mi przyjemnie powitać pana po tak długiem niewidzeniu. Ale siadajże (wskazując mu krzesło) tu przy mnie! A gdzież pan podziałeś komornika — wszakże mieliście przyjść razem?

MICHAŁ.

Komornik wstąpił do pokoju pana Próżnickiego — zaraz będzie służyć.

SZAMBELANOWA.

Dawnoś już nie był we Lwowie panie Michale. Zasiedziałeś się na wsi!

MICHAŁ.

Już półtrzecia roku minęło. Gospodarstwo, praca przykuły mię do ziemi. —

SZAMBELANOWA.

Ah! słyszałam, słyszałam, że pięknie gospodarujesz, żeś oszczędny, uczynny.

MICHAŁ.

Bóg pobłogosławił mojej pracy!

SZAMBELANOWA.

Jak to miło słuchać! Tak, tak, Bóg dopomógł. Tak czuli i działali nasi ojcowie! Wszystko odnosili do Boga!

Wchodzi Wojciech i oddaje książki Michałowi, który je odbiera i zbliża się do Anieli oddając je.

MICHAŁ (wzruszony).

Raczy pani przyjąć odemnie przyrzeczoną jej przed dwoma laty paryzką edycyę dzieł Mickiewicza.

ANIELA (obojętnie wstając).

Dziękuję panu. (zakłopotana, zwracając się ku ciotce) Czy ciocia pozwoli?

SZAMBELANOWA.

Dla czegożby nie, moje dziecię. Luboć jesteś narzeczoną Artura (wzruszenie Michała) mimo to jednak możesz zaszczycać pana Michała swoją przyjaźnią. Nieboszczki matki wasze były w przyjaźni ... Zresztą upominek tak niewinny — z rąk tak godnych.... O nie wahaj cię Anielciu.

ANIELA (odbierając książki od Michała i kładąc na stole).

Bardzo panu dziękuję i przepraszam pana. — Ja nie dla tego wspominałam o tem wydaniu....

MICHAŁ (przerywa jej).

Każde życzenie pani było dla mnie rozkazem.

Wchodzi komornik ze drzwi po lewej stronie.

SCENA XII.

Ci sami. KÓMORNIK (witając wszystkich).

SRAMBELANOWA (z radością).

Witam cię szanowny panie Janie — siadajże tu obok mnie na kanapie. (kómornik siada) Ale coś mi posmutniałeś?

JAN (westchnął i machnął ręką).

Ot tak — z wiekiem i humor się traci. Zresztą smutne wspomnienia — przykre uczucia, wrażenia

niemiłe źle czasem usposabiają. Byłem właśnie u pana Macieja. —

ANIELA.

Czy tatuńcio już się przebrał, czy przyjdzie zaraz?

JAN.

Jeszcze tam coś kombinuje, rachuje, spekuluje ot! (machnął) Odpisuje swemu pełnomocnikowi do Wiednia i posyła 500 złr. za pomyślną wiadomość.

SZAMBELANOWA.

500 złr.! za nic — wszakże mu płaci rocznie!

JAN.

Właśnie tę samę zrobiłem mu uwagę — ale ofuknął mię. —

ANIELA (błagającym tonem).

Daruj ojcze tatuńciowi — ma tyle na głowie — interesa. —

JAN.

Oj te interesa! ta spekulacya! (łagodnie do Anieli) Cóż Aniołku, czy ucieszyłaś się Michasiem — wszak to niegdyś byliście w przyjaźni — unosiliście się razem nad utworami naszych wieszczów.

ANIELA (pomięszana).

O! tak — miło mi! (spuszcza oczy) Ale (niespokojna) nie wiem co znaczy, że Artura nie ma....

JAN.

Artura? on przyjdzie ostatni, a odejdzie pierwszy — bo to po pańsku.

ANIELA (do Jana).

Że też to ojciec zawsze tak surowo sądzi. — Może go co zatrzymało....

JAN (z szyderstwem).

Zatrzymało?! Jeżeli ja za nadto surowo sądzę, to ty, moje dziecię, za nadto łagodnie.... Ja sądzę, że Artur powinien tu być pierwszym, a odchodzić ostatni — powinien zlecieć na skrzydłach miłości — chwytać z uniesieniem każdą chwilę, każdą sposobność, by być z tobą, przy tobie — poić się wdziękami twemi.... Nieprawdaż Michale?....

ANIELA.

Ależ ojcze!....

MICHAŁ (nic nie odpowiedziawszy spojrzał na Jana dając znak, żeby go nie wyzywał).

SZAMBELANOWA (przerywając).

A pan Michał nie żeni się?

MICHAŁ (smutno).

Nie — pani!

SZAMBELANOWA.

A toż dla czego?

MICHAŁ.

Bo nie mam z kim.

SZAMBELANOWA.

Alboż to nie ma dość dziewcząt poczciwych, dobrze wychowanych. —

MICHAŁ.

Nie zaprzeczam, ale —

SZAMBELANOWA.

Może pan Michał szuka posagu.

MICHAŁ (z uniesieniem).

O tak, szukam posagu — szukam trwałych skarbów w przymiotach duszy — w żywych, szlachetnych uczuciach — w cnotach domowych — —

SZAMBELANOWA.

O to dziś łatwiej niż o pieniądze!

MICHAŁ.

Nie tak łatwo! Fałszywych kamieni jest dosyć — lecz ja radbym mieć klejnot najczyściejszy.

SZAMBELANOWA.

No to szukaj!

MICHAŁ.

Znalazłem taką osobę, której piękne przymioty duszy byłyby mi rękojmią największego szczęścia na ziemi! (Aniela zwraca uwagę na to) Lecz niestety!

SZAMBELANOWA.

Nie odwzajemnia ci twych uczuć — o! to niegodna ciebie. —

MICHAŁ.

Nie tylko — ale innemu oddaje swe serce i —

Wzruszenie Anieli — patrzy niespokojnie na drzwi w głębi które w tej chwili szeroko się otwierają — Wojciech woła: Pan hrabia Próchnicki!

SCENA XIII.

Ci sami. ARTUR (utykając na nogę. Wszyscy wstają prócz komornika który podniósł się trochę, kiwnął mu głową i wziął książkę do ręki)

ARTUR.

J'ai l' honneur de vous saluer Mesdames et Messieurs!

SZAMBELANOWA i ANIELA.

Ale pan utykasz na nogę. Cóż to? przypadek?

ARTUR (siada w fotelu).

Ce n'est rien — jeździłem trochę konno — nadszedł jakiś pogrzeb, koń mi się.... *no commment dit-on?*.... koń mi się... *skabrował* (kómornik i Michał uśmiechają się) i spadłem lekko....

ANIELA.

O mój Boże! Że też pan zawsze na takich waryatach jeździsz!....

ARTUR (z wyniosłością).

Nie lubię jeździć na koniu nierasowym — musi to być *un anglais pur sang*.... Ale (do Anieli) czy odebrałaś pani bonbonierkę?

ANIELA.

Bardzo dziękuję — bardzo misterna robota!

ARTUR.

Przywiozłem z Paryża.

JAN (do Michała).

Od Pasynkowskiego (do Artura) Zdaje mi się, że miałem przyjemność widzieć pana przed południem w cukierni.

ARTUR (pomięszany).

Byłem.... z hrabią i z jenerałem.... ale nie widziałem (przymruża oczy) mam krótki wzrok! *Pardonnez.*

JAN (przewracając książkę).

Oh! (kiwnął głową) Ale czy będąc w Paryżu, nie zdybywałeś się pan z wieszczem naszym?

ARTUR.

Que c'est que cela?

JAN.

Chcę powiedzieć, czy nie miałeś pan szczęścia poznać osobiście naszego Adama?

ARTUR (pomięszany cokolwiek, odwracając się do Szambelanowej).

Mais je ne comprends pas!

SZAMBELANOWA.

Komornik pyta hrabiego, czyś się nie poznał z Mickiewiczem?

ARTUR (zadziwiony).

Mickiewicz! Nie! Nie znałem! *Un nom obscur!* (z lekceważeniem) Zapewne jakiś szlachetka!

ANIELA (zmięszana).

Ależ na miłość Boga panie Arturze!

ARTRUR.

Mais vraiment Mademoiselle ani w salonach margrabiny, ani u markizy, ani u ambasadora nie spotkałem się z tem nazwiskiem.

JAN.

To bardzo wierzę!

ARTUR (niecierpliwie).

Lecz o kimże mowa?

ANIELA (szybko).

Adam Mickiewicz, nasz poeta!

MICHAŁ (z zapałem).

Wieszcz nieśmiertelny!

ANIELA.

Wszakże pan znasz Wallenroda?

ARTUR.

Que c'est que Mr. Wallenrod?

ANIELA (z okropnem uczuciem).

O wielki Boże!

SZAMBELANOWA (zwracając uwagę na inny przedmiot, do Michała).

Widziałam pana w kościele. Nie wiesz też za kogo odprawiano mszę żałobną?

MICHAŁ (smutno).

Za duszę mojej nieboszczki matki — dziś rocznica jej śmierci....

SZAMBELANOWA (patrząc czule na niego).

Jak to pięknie! Jaki zaszczyt dla serca twego. A pan Artur czy pamięta zawsze o rocznicy śmierci swych rodziców?

ARTUR.

O! tak, tak! zawsze!

ANIELA (z uczuciem).

I modli się za nich?

ARTUR.

Tak jest! — rocznica śmierci mojej matki (myśląc) w sierpniu....

SZAMBELANOWA.

Ale cóż znów! Hrabina umarła w zimie — w grudniu —

ARTUR.

Przepraszam — pomyliłem się — to ojca.

JAN.

Hrabia Próchnicki umarł 8. Marca — byłem na pogrzebie.

ARTUR (pomięszany).

Być może! mam to podobno zapisane!

ANIELA (do siebie).

Ach to okropne męczarnie! (do Jana) Ojcze miej litość nademną!

SZAMBELANOWA (niespokojnie).

Ale jakoś pan brat nie nadchodzi — już czas do herbaty (dzwoni) (Wojciech wchodzi) (do Wojciecha) Idź-no popatrz do pana i powiedz, że czekamy!

Wojciech odchodzi.

JAN (nieubłagany motając coś na wąs, odzywa się).

A w Bruxeli odwiedzałeś pan Lelewela?

ARTUR.

O! bardzo często — ale kómornik mylisz się co do nazwiska — on się nie nazywa *Le* Level, lecz *Du* Level.

JAN.

Cha! cha! cha!

MICHAŁ (spogląda na Jana i uśmiecha się boleśnie).

SZAMBELANOWA.

Ale cóż też hrabia mówisz?!

ANIELA (do siebie).

To tortury!

ARTUR (niecierpliwie).

No mówię po prostu o panu *Du* Level w Bruxeli, który ma prawdziwe szampany i Bordeaux wyśmienite!

SZAMBELANOWA.

Ale pan Jan pyta się o Joachima Lelewela, dziejopisarza....

JAN.

Byłego ministra!

MICHAŁ (z zapałem).

Chlubę narodu! monumentalną postać dziejów naszych!

ARTUR (zimno).

Nie znam — nie widziałem!

W tem słychać jakieś zamięszanie w przedpokoju głos WOJCIECHA: po chirurgów! po lekarza!

Wszyscy zrywają się — tylko Artur siedzi — Wojciech wbiega przestraszony.

SCENA XIV.

Ci sami. WOJCIECH.

WSZYSCY (prócz Artura).

Co się dzieje? Mów!

WOJCIECH (głosem drżącym).

Jaśnie pan bardzo chory — padł na posadzkę.

ANIELA.

Mój ojciec! O Boże! (wybiega na lewo).

SZAMBELANOWA (do Wojciecha).

Posłałeś po lekarzy?

WOJCIECH.

Posłałem i sam biegnę (odchodzi).

JAN.

Po chirurga, może krew!...

MICHAŁ.

Ja pobiegnę — po najbliższego (wybiega drzwiami w głębi).

JAN.

A ja spieszę do Macieja.

Wychodzi na lewo.

SCENA XV.

SZAMBELANOWA (chodząc niespokojna po salonie) ARTUR (siedzi).

SZAMBELANOWA.

Atak nerwowy — bo to ciągle ślęczy nad papierami, ciągłe się niepokoi — spekuluje!

ARTUR.

Cela se passera! Une indisposition! (do siebie) *Mais c'est fâcheux.*

SCENA XVI.

Ci sami. MICHAŁ.

MICHAŁ (wpada z wyrazem trwogi i boleści).

Jest trzech doktorów — puszczano krew — krew nie idzie! Panna Aniela mdleje!

SZAMBELANOWA.

Mój Boże! (wychodzi na lewo — Artur wstaje i zamyśla się).

SCENA XVII.

ARTUR. MICHAŁ. JAN.

JAN (wchodzi z boleścią na twarzy i z papierem w ręku).

Usiłowania lekarzy nadaremne! Pan Maciej skończył!

MICHAŁ.

Okropne nieszczęście!

ARTUR (zimno).

Un coup d' apoplexie foudroyante!

(Chwila smutnego milczenia).

ARTUR.

Cóż to za papier?

JAN.

Sam jeszcze nie wiem — trzymał go w ręku, gdy padł tknięty apoplexyą.

ARTUR.

C'est curieux! Ayez la bonté (chce mu wyjąć z ręki papier).

JAN.

Za pozwoleniem (cofając rękę) .... (Czyta sam po cichu. Nagle opuszcza ręce i rzecze głosem uroczystym) To palec boży! (podając papier Michałowi) Czytaj:

MICHAŁ (czyta głośno).

„Depesza telegraficzna z Wiednia dnia 21. Lutego 1853 roku. Pełnomocnik Prtak do JW. Macieja Grafa Próżnickiego we Lwowie. Firma Taube & Comp. ogłosiła krydę. JW. Pan tracisz wszystko. Wątpię, czy się da co ocalić. Dołożę starań — lecz wątpię."
.... Więc to go zabiło! Biedna Aniela!

ARTUR (strasznie pomięszany... zamyślony... po chwili).

Fait accompli!

JAN (podnosząc się z trudnością).

Pójdę do Anieli — to biedne serce mogłoby pęknąć z żalu (wychodzi na prawo).

MICHAŁ.

A ja pójdę do Szambelanowej — może co rozkaże.

(Odchodzi za Janem).

SCENA XVIII.

ARTUR (sam).

ARTUR (siada przy stole, na którym rekwizyta do pisania).

Tout est perdu! Szczęście że mam w rezerwie jenerałowę — odwiedzę ją zaraz, zapewnię *de mes sentiments invariables,* a w nocy wyjadę. Chcę uniknąć ciekawych dopytywań — nie chcę by na mnie pokazywano: Oto zięć bankruta! (Wstaje, szuka kapelusza i chce odchodzić)... (Zatrzymuje się na środku salonu) Nie wypada odjechać bez pożegnania — nie wypada zrywać zupełnie!... Kto wie! Może stara zapisze jej majątek... a może jak Plewkiewicz sądzi umrze bez testamentu.... Myśl wyborna! Aniela nieprzytomna, pożegnać się z nią nie mogę. Więc napiszę słów kilka z pożegnaniem i kondolencyą (siada i pisze — pieczętując)

O tak! nie wypada zrywać! Dobra Szambelanowej powetowałyby mi spodziewany posag w gotówce!

(Dzwoni. Wojciech wchodzi).

SCENA XIX.

ARTUR. WOJCIECH.

ARTUR (oddając mu list).

Ten list oddasz pannie Anieli w kilka dni po pogrzebie! (wyjmując i dając mu pieniądze) A to dla ciebie.

WOJCIECH (odbiera list i pieniądze, wychodząc kłania się i mówi do siebie).

Oddam panu komornikowi!

ARTUR (z zadowoleniem do siebie).

Myśl wyborna!

KONIEC AKTU III.

AKT CZWARTY.

Salon u Szambelanowej jak w akcie I.

SCENA I.

JAN sam (siedzi przy stole, przegląda księgę obrachunków nieboszczyka Próżnickiego).

Wszystko stracił!... zaledwie wystarczyło na przyzwoity pogrzeb!.... Biedne dziecię!.... Mam jej doręczyć dwa listy — dwa pożegnania.... jeden od Michała otwarty; drugi od Artura.... Poczciwy Michał pisze: „Pani! za nadto szanuję smutek jej, ażebym przerywał go widokiem mojej osoby. Racz więc pani przyjąć szczere spółczucie moje, i chciej mi uwierzyć, że gdybyś wśród nieszczęść

i bolesnych życia zawodów potrzebowała oprzeć się o silne ramię, zaufać sercu, któreby dla ciebie wszystko poświęcić gotowe, znalazłabyś we mnie jedno i drugie. Żegnam panią. Michał Sulimowski!"... A tu drugi list z pieczęcią od Artura.... Treść mi niewiadoma, lecz łatwo się domyśleć.... kochał się w jej posagu, z zagaśnięciem nadziei posagu — zgasła i miłość!... Nie mam odwagi doręczyć jej.... Wiem, że go jeszcze kocha — — taki cios jeden po drugim mógłby złamać to biedne serce.... (namyśla się) Nie... lepiej rozczarować ją zawczasu... lepiej prędzej niż później! Od śmierci ojca upłynęło już kilka tygodni... jej rozpacz zamieniła się już w spokojny smutek.... wreszcie jej silna wiara wzmocni ją do tej nowej walki — a list Michała będzie gojącym balsamem na bolesną ranę jej serca.

(Dzwoni — Wojciech wchodzi).

SCENA II.

JAN. WOJCIECH.

JAN.

Czy panna Aniela jest już w swoim pokoju?

WOJCIECH.

Nie — jeszcze nie wróciła z lekcyi — Karolcia właśnie po nią poszła.

JAN.

Jak wróci, powiesz mi (do siebie) Otóż i Szambelanowa!

Wojciech odchodzi. Szambelanowa wchodzi z prawej strony.

SCENA III.

JAN. SZAMBELANOWA chwiejnym krokiem z głową pochyloną.

JAN (całując ją w rękę i prowadząc do kanapy).
Jakże szanowne zdrowie pani dobrodziejki?

SZAMBELANOWA.

Dziś mi trochę lepiej — ale czuję, że mię siły opuszczają — ostatnie wypadki mocno mię skołatały, a po odbytej ciężkiej słabości nie mogę jeszcze przyjść do siebie.... Podobno już nie długo....

JAN (siada na krześle obok niej).
Ale niechno pani nie poddaje się... nie tak to źle jeszcze.....

SZAMBELANOWA.

Trzeba się mieć w pogotowiu... siódmy krzyżyk się kończy.... Wiesz komorniku, że Maciej był o 5 lat młodszy odemnie — a jak się prędko minął...

JAN.

Prawda, ale to przypadek.... nagła śmierć!

SZAMBELANOWA.

Nie zaszkodzi jednak przygotować się zawczasu — ot wiesz komorniku, chciałabym testament zrobić!

JAN.

Jeżeli taka wola pani — to dobrze!

SZAMBELANOWA.

Chciej więc napisać mi kopię, ja ją własnoręcznie odpiszę, a ty i Wojciech podpiszecie jako świadkowie.

JAN.

Dobrze — w tych dniach....

SZAMBELANOWA.

Nie — ja chciałabym dzisiaj — krótko i wyraźnie — ot tak: „Wszystkie dobra moje daruję i zapisuję (wzruszenie Jana) mojej najdroższej kuzynie — (Jan do siebie: Dzięki Niebu!) pannie Anieli Próżnickiej, zastrzegając sobie dożywocie. Z dochodów tych dóbr ma spadkobierczyni moja składać co roku piątą część dochodów czystych na cele dobroczynne w sposób w mojem kodycylarnem rozporządzeniu wyrażony. Datum i t. d.

JAN (całując ją w rękę z uniesieniem).

Niech ci Bóg nagrodzi zacna pani za łaskę, jaką zlewasz na to szlachetne dziecię!

SZAMBELANOWA.

O tak! szlachetne i poczciwe! Gdybyś wiedział jak mię pielęgnowała w słabości...

JAN.

Widziałem, jak czuwała po nocach przy łóżku pani.

SZAMBELANOWA.

A jaka pracowita, oszczędna!

JAN.

Cieszę się bardzo, że w pracy znalazla rozrywkę i ukojenie smutku.

SZAMBELANOWA.

Sprzeciwiałam się temu, obawiałam się żeby mi świat nie wziął za złe, nie posądził mię o skąpstwo, nieczułość....

JAN.

Cóż ona na to?

SZAMBELANOWA.

Odpowiedziała mi: że praca uczciwa nikogo nie hańbi, że ona nie dba o niedorzeczną opinię świata....

JAN.

Słusznie!

SZAMBELANOWA.

Nareszcie tem mię zniewoliła, że przeznacza dochód z lekcyj swoich na utrzymanie sieroty, którą za życia ojca wzięła pod opiekę swoją....

JAN.

Kochane dziecię! Otóż i ona.

Aniela wchodzi z prawej strony.

SCENA IV.

Ci sami. ANIELA.

ANIELA (blada, w żałobie).

Dzień dobry, kochanej cioci (całuje ją w rękę) Dzień dobry ci ojcze (całuje go w ramię).

SZAMBELANOWA.

Usiądź-że tu przy nas — musisz być znużona!

ANIELA.

O! bynajmniej! Nie uwierzycie państwo, jak przyjemnie mi czas upływa wśród pracy — jak pomyślnym skutkiem ta praca uwieńczona — jak ją ożywia myśl, że nią przynoszę ulgę biednej sierocie!...

SRAMBELANOWA (z czułością do niej).

Jak mnie to cieszy!...

ANIELA.

Moje panienki tak mię lubią, tak pilnie się uczą...

Karolcia wchodzi.

SCENA V.

Ci sami. KAROLCIA.

KAROLCIA (do Szambelanowej).

Proszę pani, ta biedna wdowa przyszła.

SZAMBELANOWA.

Idę, idę.... bo taki gość nie powinien czekać!

Odchodzi wsparta na ramieniu Karolci.

SCENA VI.

JAN. ANIELA.

JAN.

Wiesz Anielciu miałem list od Michała — dowiaduje się o wasze zdrowie. —

ANIELA (siada).

Poczciwy! (z boleścią) A od Artura ani słowa!...

JAN.

Wcale się nie dziwię!

ANIELA.

On ma dobre serce — tylko roztrzepany. —

JAN.

Ty nazywasz roztrzepaniem, co jest najszkaradniejszem samolubstwem.

ANIELA.

Ojciec zawsze taki surowy!

JAN.

Nie — ja nie jestem surowy, tylko widzę rzeczy zdrowo, bez uprzedzenia — ten nikczemnik nie godzien....

ANIELA.

Ależ ojcze!...

JAN (żywo).

Przypomnij sobie jego całe postępowanie od czasu gdyś go poznała, aż do śmierci ojca! Nigdy prawdziwe uczucia nie objawią się potężniej jak w nieszczęściu. A wiesz jak się Artur zachował w obec tej strasznej katastrofy?

ANIELA.

Nie wiedziałam.... Mówił mi Wojciech i Karolcia coś plotła, ale nie wierzyłam.

JAN.

To chciej mnie uwierzyć — ja byłem świadkiem; zgroza mię przejmowała na widok zimnego, niegodziwego samoluba.

ANIELA.

On czuły, ale nie umie, a może nie chce tego okazać.

JAN.

Ależ Anielciu, zastanów się... nie uniewinniaj tego, który się sam w oczach wszystkich potępił....

ANIELA.

Jakto?

JAN.

Wiadomość o śmierci ojca przyjął najobojętniej w świecie i podczas gdy wszyscy potrwożeni rozbiegliśmy się na wszystkie strony, by nieść ratunek, on siedział najwygodniej w salonie... i patrzył na to wszystko, jak na komedyą...

ANIELA.

Pewnie tak mocno się przeraził, że...

JAN (przerywa żywo).

Że dowiedziawszy się, iż posag na który spekulował, już dlań stracony, wyniósł się cichaczem i tej samej nocy wyjechał...

ANIELA.

Musiał mieć ważny interes —

JAN.

Lecz przed godziną nie miał żadnego....

ANIELA (smutno).

Z ciocią się chciał pożegnać, ale nie było jej w salonie — kazał ją przeprosić przez Wojciecha!

JAN (wstaje).

A ciebie pożegnał zapewne tym listem (wyciąga list z kieszeni i pokazuje jej) który oddał Wojciechowi z poleceniem, by ci go doręczył.

ANIELA (wstaje).

List! (z uniesieniem) list od niego! Ach ojcze pokaż! pokaż!

JAN (trzymając list).

Uspokój się i przygotuj się na bolesny zawód — ja się domyślam, że tym listem uwieńczył swoją niegodziwość.

ANIELA (z gorączkową niecierpliwością).

O! mylisz się, ojcze, mylisz się... Ale dla czegoż nie oddałeś mi go zaraz?

JAN.

Bom ci chciał oszczędzić boleści, nowego ciosu.

ANIELA (błagając).

Pozwól ojcze niech przeczytam, nie obawiaj się o mnie, skróć moje męczarnie.

JAN (otwierając list).

Ja ci odczytam: (czyta) „*Chère Mademoiselle!* Ważne sprawy powołują mię do domu. Mój komisarz donosi mi, że jutro po raz pierwszy puszczają w ruch moją parową fabrykę bawełny szkockiej. W nocy muszę odjechać. Zamiast pożegnania osobistego *agréez Mademoiselle* listowne wraz z kondolencyą z powodu straty majątku i śmierci ojca... Pierwszy może się powetuje kiedyś, bo nie wątpię, że pani Szambelanowa zechce swoim na korzyść pani rozdysponować. W takim razie szczęśliwym mógłbym zrealizować *nos voeux mutuels* i być *tout à Vous et Votre devoué Arthur Comte Próchnicki.*“

ANIELA (podczas odczytania listu mieni się — słabnie, a przy ostatnim ustępie pada w fotel, który jej Jan podsunął).

JAN (pochyla się nad nią).

Anielciu! On nie godzien ani wspomnienia twego! Uspokój się! (Dłuższe milczenie).

ANIELA (przychodząc po chwili do siebie, z westchnieniem).

Ach!... O Boże! czy to sen.... o matko moja! Tak, tak, nie godzień (po chwili wstając) Ale, może to nie on — (odbiera list z rąk Jana) Ach! to jego ręka! (chce podrzeć list, lecz nagle wstrzymuje się) Nie; zachowam go, będę go codzień odczytywać, będę goryczą jego napawać serce moje.... to biedne serce, które tak żywem, tak czystem uczuciem pałało ku niemu — (chowa list).

JAN (łagodnie).

Uspokój się — uzbrój się wiarą w mądre wyroki Niebios!

ANIELA.

Jam go tak kochała! ja go jeszcze...

JAN (uroczyście).

Nie bluźnij Anielo! zatrzej w sercu i pamięci obraz nikczemnika!

ANIELA.

O jakżebym rada — lecz to biedne serce moje...

JAN.

Oto masz drugi list! czytaj!

Oddaje list Michała.

ANIELA (czyta cicho, potem żałośnie).

A jam mu tyle szlachetności odpłacała obojętnością!... Tamten zdeptał najświętsze uczucia moje — ten potęgą swoich pojednał mię ze światem!...

JAN.

Uspokój się!

ANIELA (po chwili spokojniej).

Nie pojmuję — jak mogłam zająć się Arturem, a zapoznać Michała!

JAN.

To nic dziwnego! Kobietom często się to wydarza. Sądzą z powierzchowności, pozory biorą za rzeczywistość. Czynią w tym razie tak, jak nie znający się na obrazach amatorowie. Chwytają za lichy utwor w wyzłacanych ozdobnych ramkach, a odwracają uwagę od arcydzieła bez ramek. Jakiż skutek — złudzenie, zawód! Ramki stracą z czasem blask i poczernieją — zostanie lichota bez wartości wewnętrznej. Arcydzieło zaś nie traci nigdy wartości — przeciwnie z wiekiem coraz większej nabywa.

ANIELA.

Więc Artur to lichota w ramkach ozdobnych, a Michał arcydzieło bez ramek!

JAN.

Tak dziecię moje! Na taką lichotę znawca ledwie spojrzéć raczy — takie arcydzieło podziwia i ważnem płaci za nie złotem!

ANIELA (z uniesieniem).

O tak! złotem — szlachetnym kruszcem uwielbienia, szacunku i miłości.

JAN.

A za lichotę ulotnym i pomiętym banknotem przemijających rozkoszy zmysłowych!

ANIELA.

A dla czegoż ojcze kochany, nie zwróciłeś pierwej uwagi mojej na to arcydzieło?

JAN.

Bo nim arcydzieło zostało wykończone, ciebie łube dziecię zaćmił blask złotych ramek. — Wreszcie dopiero grom Nieba — błyskawica gniewu Bożego przyćmiła połysk ramek, a uwydatniła przecudne barwy arcydzieła!

ANIELA (wstając).

Ach przestań ojcze!

JAN.

Uspokój się lube dziecię. (Bierze ją za rękę, całuje w czoło). Korzystaj z doświadczenia, a gdy w żywej galeryi obrazów świata przesuwać się będą przed oczyma twemi rozmaite utwory, patrz na nie okiem duszy — nie okiem zmysłowem!

KONIEC AKTU IV.

AKT PIĄTY.

Pokój w hotelu jak w akcie I. — na stole rekwizyta do pisania.

Wchodzą Artur w podróżnem ubraniu, za nim Jaques z torbą, garson z walizą, które kładą na posadzce.

SCENA I.

ARTUR. JAQUES. GARSON.

ARTUR.

Czy nie mógłbym mieć pokojów na pierwszem piętrze z balkonem, jak zwykle?

GARSON.

W tej chwili nie — dopiero za godzinę będą wolne. Tymczasem niech Jaśnie pan przyjmie te pokoje!

ARTUR.

Zresztą to nie na długo — wolę tu zostać!

GARSON.

Przepraszam Jaśnie pana te pokoje zamówione!

ARTUR.

Dla kogoż?

GARSON.

Dla pana Sulimowskiego!

ARTUR.

Więc przeprowadzisz mię na górę — za godzinę.

Garson i Jaques odchodzą.

SCENA II.

ARTUR (sam chodząc po pokoju pali cygaro z wielką fantazyą).

Le Français a raison de dire: „On revient toujours à ses premiers amours (śmieje się) Roku zeszłego, na owym fatalnym wieczorze u Próżnickiego, kiedy mnie ów stary gaduła tak niemiłosiernie na śmiech wystawił, zdawało się, że sentymentalny Michał mógłby otrzymać pierwszeństwo przedemną.... Próżne obawy!... Niewinnie posądziłem Anielę! Widać, że Aniela

umie się poznać, umie ocenić prawdziwą dystynkcyję — pańskość... Jednak mądrze zrobiłem, żem ów list napisał — byłbym ogromnie chybił, gdybym był odjechał *sans adieux*... (siada) Jenerałowa poszła tymczasem za pułkownika.... byłbym może na lodzie osiadł.... Nie znając w tym kraju żadnej innej damy, któraby była godną mego tytułu... mego wychowania, byłbym musiał pojechać do Paryża i starać się o względy markizy... Nic nie straciłem — dobra ciotki powetują mi posag przez ojca stracony!.... (wstaje) Ciekawym po co pan Sulimowski przyjeżdża?... Zapewne przypadkiem... Może go zechcą prosić na drużbę... cha, cha, cha! Toby było wyśmienicie... Tylko nie wiem, czyby wypadało — on nie hrabia — ale zdaje mi się... a tak, tak... matka jego była hrabianką z domu, jednego herbu z nami. Zostawiłbym mu ten zaszczyt. — Tylko musiałbym czuwać nad tem, żeby się przyzwoicie ubrał.

Jaques wchodzi — potem Plewkiewicz.

SCENA III.

ARTUR, JAQUES potem PLEWKIEWICZ.

JAQUES.

Pan Plewkiewicz!

ARTUR.

Puść go!

JAQUES.

Zaraz (wychodzi).

PLEWKIEWICZ (wchodzi kłaniając się).

Ścielę się do stóp Jaśnie wielmożnego hrabiego.

ARTUR (siada).

Cóż powie?

PLEWKIEWICZ (uśmiechając się).

A nie mówiłem jaśnie panu, że dobra Szambelanowej będą nasze?

ARTUR.

Mówiłeś — ale z dodatkiem, że stara kłapnie bez testamentu — tymczasem stara żyje i testament jest!

PLEWKIEWICZ.

Więc i wilk syty i owca cała, jaśnie panie.

ARTUR.

Aha syty! A rozporządzenie kodycylarne: piąta część dochodu na cele dobroczynne! to nic?!

PLEWKIEWICZ.

Ale czystego...

ARTUR.

Masz słuszność — nie pomyślałem o tem!

PLEWKIEWICZ.

Cóż łatwiejszego jak w dzisiejszych czasach wykazać że nie ma żadnego dochodu czystego.

ARTUR.

Brawo! z ciebie tęga głowa, Plewkiewicz! Tyś jeniusz zapoznany!! (wstaje i klapie go po ramieniu).

PLEWKIEWICZ (uradowany).

A prawda jaśnie panie, że ja byłem pierwszym zwiastunem tej radośnej nowiny?

ARTUR.

A tak! jakże zwietrzyłeś?

PLEWKIEWICZ.

Ha, ha! ile mnie to łez, miodu i czasu kosztowało!

ARTUR (śmieje się).

Łez! ot pleciesz — pewnieś się już ztrąbił.

PLEWKIEWICZ.

Łez, łez jaśnie panie — płakałem jak żak szkolny przed Wojciechem nad śmiercią starego, nad stratą majątku — płakaliśmy razem — dla odpędzenia smutku spólnego poszliśmy razem na miód raz, drugi i trzeci i tak powoli rozczulając poczciwego sługę, wyciągnąłem od niego nowinę o testamencie — bo on go jako świadek podpisał...

ARTUR.

No dziękuję ci. Oto masz tymczasem (daje mu banknot) a później dam więcej i kto wie, czy nie zrobię cię moim pełnomocnikiem — *Adieu!*

PLEWKIEWICZ (chucha w banknot, ogląda go i kłaniając się chowa; odchodząc przy drzwiach)

Dies beatissima! Vivat ciotka!

Jaques i Garson wchodzą i zabierają rzeczy).

SCENA IV.

ARTUR. GARSON. JAQUES.

GARSON.

Proszę jaśnie pana pokoje na górze już przygotowane. —

ARTUR.

Dobrze.

Wychodzi, za nim Jaques i garson z rzeczami.

SCENA V.

JAN (wchodzi, rozgląda się po pokoju; potem garson).

JAN (do siebie).

Jeszcze go nie ma — tem lepiej (siada przy stole) napiszę do niego kilka słów, uniknę próżnych narzekań, smutnych wrażeń (pisze, zdejmuje sygnet i pieczętuje list — dzwoni — garson wchodzi).

JAN (do garsona).

Jak pan Sulimowski przyjedzie — oddasz mu ten bilet (pokazuje i kładzie na stole — potem wychodzi).

GARSON (sprząta, ustawia krzesła — po chwili)

Oh! ktoś zajechał — pewnie pan Sulimowski.

Wybiega.

SCENA VI.

MICHAŁ (wchodzi w płaszczu, za nim garson).

MICHAŁ.

Czy nie był tu pan komornik?

GARSON.

Wczoraj zamówił pokoje dla wielmożnego pana, a nie dawno był tutaj i zostawił bilet (idzie do stołu) oto jest! (oddaje) Czy wielmożny pan rozkaże co?

MICHAŁ (porywa list i otwierając)

Nic — nic; później zadzwonię.

GARSON (wychodząc).

Dobrze panie!

MICHAŁ (czyta głośno).

„Michasiu! Dziś ślub Anieli z Arturem — Szambelanowa życzy sobie, żebyś był drużbą. Przebierz

się więc i przyjdź wieczór do Szambelanowej — mnie tam zastaniesz. Twój Jan."...... Ja mam być drużbą!.... Mam być świadkiem jego szczęścia, a jej śmierci! o! tak śmierci! ona zmarnieje, zginie!... (chodzi po pokoju...) Ha! (z rezygnacyą) Odmówić nie mogę — muszę pójść i wypić do dna ten kielich goryczy! (dzwoni— garson wchodzi).

SCENA VII.

MICHAŁ. GARSON.

MICHAŁ.

Wyjdę na chwilę. Ty przygotujesz mi tymczasem suknie w pierwszym pokoju. Jak wrócę, przebiorę się.

Wychodzi.

GARSON.

Dobrze wielmożny panie!

SCENA VIII.

Salon u Szambelanowej jak w poprzedzających aktach. Wchodzi Szambelanowa, za nią Aniela i Kazia w strojach ślubnych.

SZAMBELANOWA (siadając na kanapie).

Cieszę się kochana Anielciu, żeś dziś weselsza,

bo przez kilka dni byłaś taka smutna, taka zmieniona, zdawało mi się, że strasznie cierpisz, że walka jakaś odbywa się w tobie.

ANIELA (siada obok w fotelu, i wzkazuje ręką Kazi, żeby usiadła).

Siadaj Kaziu! (do ciotki) Smutne wspomnienia, które zwykle odświeżają się w pamięci w ważnych chwilach życia tak na mnie wpłynęły — przypomniałam sobie śmierć kochanej mamy, stratę drogiego ojca — —

SZAMBELANOWA.

Ale zapomnijże już o tem — uspokój się już....

ANIELA.

O! ja już jestem spokojna, jam już bardzo spokojna!

SZAMBELANOWA.

On ma nie złe serce, zrobisz z nim co zechcesz. On bardzo podobny w usposobieniu swojem do męża mego nieboszczyka Szambelana — a jednak ja potrafiłam...

ANIELA (przerywając).

O! tak, tak kochana ciociu (całuje ją w rękę)

ja będę szczęśliwą — (z westchnieniem) ja się nie zawiodę na nim!

Wchodzi Jan i słyszy ostatnie słowa Anieli.

SCENA IX.

Ci sami. JAN w gali, wita się z niemi jak zwykle.

JAN.

O! nie zawiedziesz się Anielciu — zapewniam cię!

ANIELA.

Niech-no ojciec siada i pomoże mi ubłagać ciocię.

JAN (siada).

Cóż to będzie?

SZAMBELANOWA.

Mów Aniołku!

ANIELA.

Oto szczęście moje będzie dopiero wtedy zupełne, jeżeli kochana ciocia zechce dzielić je ze mną — być z nami razem.

SZAMBELANOWA.

Byłoby to dla mnie wielką przyjemnością, ale to być nie może... najpierw koszta... a potem... wy

będziecie prowadzić dom otwarty, wesoły, wśród wizyt, zabaw... a ja pragnę spokoju...

ANIELA.

O! nie ciociu droga! My cioci urządzimy przybytek miły, cichy i spokojny — będziem oboje osładzać cioci każdą chwilę — uprzedzać wszystkie jej pragnienia...

SZAMBELANOWA.

Pierwej lubo moja musiałabyś się z nim porozumieć... bo to potem mogłyby być kwasy — a ja nie chciałabym być powodem....

ANIELA (z uczuciem).

O! nie ciociu! — on mnie tak kocha, on dla mnie wszystko zrobi.

SZAMBELANOWA.

No dobrze, zobaczymy — ale to później o tem (do Jana) Czy Michał przyjechał, czy mówiłeś mu panie Janie?

JAN.

Musiał już nadjechać — zostawiłem mu bilecik z uwiadomieniem, że pani dobrodziejka życzysz sobie..

SZAMBELANOWA.

Tak, tak. Bardzo pragnę żeby był drużbą Anielci;

to taki poczciwy, przykładny chłopiec — zresztą jej ślub odbędzie się po cichu, w szczupłem gronie rodzinnem, a on przez nieboszczkę matkę swoją należy także do naszej rodziny...

ANIELA.

Więc ojciec będzie starostą, Michał drużbą, a Kazia drużką — (wesoło) Jak to po mojej myśli! (do ciotki) O! dziękuję cioci.

SZAMBELANOWA.

A jakby Michał nie nadjechał...

ANIELA.

To... tobyśmy kogoś innego...

JAN.

Ja nie wątpię, że przyjedzie... ale otoż i on!

Michał wchodzi, kłania się zimno Anieli, całuje w rękę Szambelanowę, ściska się z Janem.

SCENA X.

Ci sami. MICHAŁ.

SZAMBELANOWA.

Ach jak to dobrze, żeś w porę przybył — już się obawiałam, żebyś się nie spóźnił.

MICHAŁ (z wzruszeniem tłumionem).

Nie wiedziałem, że mnie ten zaszczyt ma spotkać, bo byłbym pospieszył.

ANIELA.

Nie spóźniłeś się pan.

MICHAŁ (do Jana).

Czyliż nie mogłeś im przedstawić, że mi to będzie przykro... wyperswadować.

JAN.

Nie mogłem.. Bądź mężnym!

MICHAŁ.

Ależ kochany Janie!...

JAN.

Zrób tę ofiarę dla nich — ony cię tak szanują!

MICHAŁ.

Straszna ofiara!

JAN.

Bądź mężnym! Życie jest walką!...

W tem drzwi szeroko się otwierają, wchodzi Artur z najlepszą miną i kłaniając się uprzejmie.

SCENA XI.

Ci sami. ARTUR.

ARTUR.

J'ai l' honneur Mesdames et Messieurs! (do Szambelanowej) *Pardonnez Madame* żem się spóźnił. Wsiadając do karety spostrzegłem, że mój furman Mikołaj ma jakieś ciemne rękawiczki zamiast białych. Zalterowałem się — i musiałem posyłać po białe — *voilà la cause du rétard!*

JAN (do Artura).

Witam pana!

ARTUR.

Kómornik podobno starostą?

JAN.

Do usług!

ARTUR (do Michała).

A pan Sulimowski drużbą?

MICHAŁ.

Tak.

ARTUR.

Cieszę się! (do Anieli) *Comme vous êtes charman-*

te! Comme cette toilette vous sied à merveille! (do Kazi) Miło mi poznać! (do Szambelanowy) Jak nam pani dziś zdrowo wygląda!

SZAMBELANOWA.

Cieszę się szczęściem kochanej Anielci!

JAN (patrząc na zegarek).

Moi państwo godzina siódma, czas do kościoła!

Wszyscy wstają.

ANIELA (wysuwając się naprzód).

Nim pójdę do ołtarza, muszę państwu opowiedzieć ważne zdarzenie z życia mego. (Wszyscy słuchają z uwagą natężoną) Po śmierci ojca i stracie posagu otrzymałam od dwóch przyjaciół dwa listy, dwa pożegnania. Jeden pocieszał mię tem, że gdy znowu przyjdę do majątku, on raczy wtedy zbliżyć się do mnie — drugi przeciwnie ofiarował mi w nieszczęściu swoje silne ramię, swe czułe serce i swój majątek. Od pierwszego (spojrzała na Artura, który się zmienił nagle) grozi mi wielkie nieszczęście, bo nie kochał mnie, tylko mój posag — drugi (spogląda na Michała) ofiaruje mi swe silne ramię w tem nieszczęściu. Wybór więc łatwy (stanowczo, z uniesieniem do Michała) Czy wolno mi jeszcze szlachetny mężu oprzeć się o to silne ramię, przytulić do tego czułego serca...

MICHAŁ (z uniesieniem).

Ach pani! (idzie ku niej).

ANIELA (wpadając w jego objęcia).

Więc jestem twoją żoną! prowadź mię do ołtarza!

Wszyscy zdumieni idą za niemi.

SZAMBELANOWA (podnosząc oczy w górę).

Niebo ją natchnęło. Niech będzie Jego wola!

ANIELA (przechodząc obok Artura, oddając mu list).

Przebaczam panu — oby mu Bóg tak przebaczył!

JAN.

Spekulacya nie udała się!

ARTUR (sam — stojąc chwilę jakby piorunem rażony na środku).

Nie udało się! Pojadę do markizy!

KONIEC.